

Od Grunwaldu po Berlin

szu Czarny, Florian z Korytnicy, Jak-
sza z Targowiska, Domarat z Kobylan
itd. Poza tymi chorągiewkami brała u-
dział chorągiew królewska czyli tzw.
„proporzec” oraz chorągiew „gończy”,
służąca do pościgu. Dowództwo naczel-
ne nad wojskiem sprawował król, do-
wództwo nad Litwinami — książę Wi-
told.

Autor opisu bitwy pod Grunwaldem,
słynny historyk polski Jan Długosz,
którego ojciec brał udział w bitwie i
opierając się na opowiadaniach ojca i
Zbigniewa Oleśnickiego, późniejszego
biskupa krakowskiego Długosza dał
szczegółowy przegląd chorągwi wal-
czących pod Grunwaldem i znamien-
nych rycerzy. Wszyscy jednak jesteśmy
pod przemożnym urokiem opisu bitwy

gnąć konsekwencji, Malborg, broniony
przez energicznego komtura Henryka
von Plauen nie uległ zwycięzcom. Ka.
Witold wycofał się niebawem, wobec
czego i król zwinął obłężenie. To za-
decydowało o losach wojny. Tak Grun-
wald, jak i Głogów, Psie Pole, Płowce,
— ucza, że potrafiąc odnosić najwięk-
sze zwycięstwa — nie umieliśmy wy-
grywać pokoju. Już dnia 1 lutego 1411
roku zawarto z Zakonem pokój w To-
runiu, mocą którego pozostawiono w
zasadzie status quo w stosunkach pol-
sko-krzyżackich. Były to więc wyniki
bardzo mizerne w stosunku i nakładu
sił, włożonych do osiągnięcia sukcesu
przez Polskę w tej wojnie. Nie bez ra-
cji też liadał w swej historii Długosz
nad tym traktatem.

Drugi Grunwald powtórzyć się miał
dopiero w pamiętnych dniach
wiosny roku 1945, kiedy to Niemcy
hitlerowskie z całą zjadliwością posta-
nowiły bronić Berlina, licząc nie tylko
na „tajną broń”, co na ewentualny su-
kurs polityczny zachodnich aliantów,
który by ich uratował w ostatniej chwi-
li. Berlin zamieniony został na olbrzy-
mią twierdzę, każdy dom na przedmie-
ściach tworzył samodzielny bunkier.
Wycięto okoliczne lasy i sady,
Przekopano kanały, wysadzono w po-
wietrze groble, pozatapiano pola. Zwy-
cięskich jednak wojsk słowiańskich
nie powstrzymał bynajmniej huragan
stali i ognia. Przez dzień i noc trwał
zacięty bój, walczone niemal o każdy
dom i ruinę. Warkot samolotów i czoł-
gów mieszał się z grzmotem dział i ter-
kotem karabinów...

Niemcy na obronę Berlina ściągnęli
2000 samolotów. W gorącym okresie
pierwszego natarcia po sforsowaniu
Odry w ciągu jednego tylko dnia
Luftwaffe dokonała ponad 1000 nalotów
na pozycje 1 Białoruskiego Frontu. W
ciągu 5 dni między 16 a 22 kwietnia my-
śliwcy 1 Białoruskiego Frontu i 1 Ukra-
ińskiego Frontu stoczyli 841 walkę po-
wietrzną, w których stracono 813
samolotów. Przyjrzyjmy się tym cy-
from. Zakładając, że działania myśli-
wców mogły trwać po 14 godzin na do-
bę, okazuje się, że walki powietrzne
staczoano średnio co 5 minut, a średnio
co 5 minut 11 sekund spadał 1 samo-
lot Luftwaffe. Wojska dwóch frontów
radzieckich a z nimi dwie armie pol-
skie otoczyły i zdobyły Berlin w mi-
nistrzowskiej i szybkiej operacji. Walny

udział w zwycię-
stwie miała i dy-
wizja im. Tadeusza
Kościuszki pod do-
wództwem gen. Po-
pławskiego. 2 maja
1945 r. na budy-
nku Reichstagu za-
lopotat zwycięski
sztafard radziecki,
a obok niego chorą-
giew polska. Na-
czelny dowódca
Wojska Polskiego
— marszałek Mi-
chał Zymierski
wydał rozkaz do
generałów, ofice-
rów, podoficerów
i żołnierzy I armii
„tej armii, której
sztafardę okrywa-
ją nieśmiertelną
chwałą zwycięstwa
nad Bugiem, Wi-
słą, Bałtykiem, na
Wale Pomorskim,
nad Odrą i na ka-
nale Hohenzoller-
nów, w ostatnich
bojach o Berlin i
na zachód od zdo-
bytej stolicy wro-
ga, przysparzając
nowych laurów ry-
cerskiej sławie na-
rodu.

W czasie walk o
Berlin i dywizja
zdobyła 56 kwar-
tałów, wśród nich 7 fabryk, 4 sta-
cje kolei podziemnej i gmach In-
stitutu Technicznego. Nasi żołnierze
zniszczyli 120 nieprzyjacielskich ceka-
mów, 17 dział różnego kalibru, oraz
wiele innego sprzętu bojowego i tech-
nicznego. Ponadto wzięli do niewoli
2500 niemieckich oficerów i żołnierzy,
w tej liczbie 14 wyższych oficerów,
zdobyli 8 czołgów, 15 dział pancernych,
28 dział różnego kalibru, 82 ckm-y,
ponad 3000 karabinów i pistoletów ma-
szynowych, 300 samochodów, skład ma-
teriałów pędnych i wiele składów
amunicji.

Bohaterska, upajająca czynem była
atmosfera tych dni walki o Berlin. Prze-
mieniły tryby i niedostatki codziennego,
ciężkiego życia żołnierskiego, przepad-
ły długie godziny oczekiwania w ner-
(Ciąg dalszy na str. 4)

Mgr B. PLEŚNIARSKI GRUNWALDZKIE TROFEA

Jan Herburt z Felsztyna na 283 str.
„Chronica sive historiae Polonicea
compediata” wydanej anno 1609 wy-
licza 51 znaków wojennych pozosta-
wionych na polach Grunwaldu przez
rozgromionych Krzyżaków. Wcześniej-
szym ich opisem zajął się w r. 1448
Jan Długosz, którego stryj będąc kape-
lanem Władysława Jagiełły, odprawił
szczęśliwie masę przed walką grun-
waldzką i był naocznym świadkiem
germańskiego pogromu. Do opisu zdo-
bytych chorągwi, opisu zatytułowa-
nego „Bandieria Prutenorum” wyko-
nał współczesny rysownik krakowski Sta-
nisław Durink dokładne obrazy wojen-
nych sztandarów. Jest więc wielka cho-
rągiew Zakonu i mniejsza wielkiego
mistrza krzyżackiego, jest chorągiew
wielkiego marszałka Fryderyka Wal-
lenroda i skarbnika Tomasza Moer-
heyma, jest znak mistrza generalnego
Henryka Plauen i chorągiew świętego
Jerzego rycerza Gersdorfa, są sztandary
biskupów pomezańskiego, zambij-
skiego, chełmińskiego i warmińskiego.

sa bandery miast Chełmna, Grudzia-
dza, Balji, Kowalewa, Królewa, Tu-
choli, Rogoźna (spod Grudziądza), Elb-
laga, Brodnicy, Nowogomiasta, Bruns-
bergi, Łasina, Człuchowa, Bartenstei-
na, Ostródy, Szczytna, Tczewa, Mel-
zaka, Brandenburga, Gdańska, Gniewa
i Torunia. Pośród trofeów znalazły się
też chorągwie: Szwabów, Nadreńcy-
ków i Szwajcarów oraz rycerzy Myśni.
Te i wiele innych znaków wojennych
polecił król Władysław złożyć na Wa-
welu. Spoczywały one w świątyni ka-
teedralnej u stóp grobu św. Stanisława
w czasie kiedy Jan Długosz je opisy-
wał. Były tam jeszcze, gdy Joachim
Bielski w doprowadzonej do r. 1597
„Kronice Polskiej” na 311 str. je opi-
sywał. Przetrawiły nawet 150-letnią
niewolę. Dopiero generalny gubernator
Frank wywiózł je w okresie oku-
pacji do Niemiec, skąd Polska Odro-
dzona je rewindykowała.

Oprócz chorągwi dostały się w pol-
skie ręce również ołtarz polowy, ma-
leńki ołtarzyk i relikwiarz Ulrycha

von Jungingen. Ołtarz polowy prze-
chował się aż do początku ubiegłego
wieku w Grudziądzu, skąd według re-
lacji nr 160 „Dziennika Poznańskiego”
z r. 1910 zakupiło go za 150 marek
muzeum gdańskie. Małeńki, bardzo mi-
sternie ze srebra — na polecenie elb-
laskiego komtura — w formie książki
wykuty ołtarzyk złożył król Władysław
w katedrze gnieźnieńskiej. W roku 1842
— podaje Vossberg na 216 str. „Geschichte der preussischen Mün-
zen und Siegel” — został ołtarzyk ten
zabrany do Malborka. W kościele św.
Floriana w Krakowie znalazł pomie-
szczenie relikwiarz zdjęty z piersi
wielkiego mistrza Ulrycha, zabitego
przez „prostego draba” według nasze-
go kronikarza Strykowskiego a rzeko-
mo przez dowódcę Tatarów — Baga-
dina według relacji krzyżackiego kro-
nikarza Kotzebuego.

Opowiada jeszcze Długosz w swej
kronice — pisze Wiktor Czernak na
str. 120 „Grunwaldu” — że obozy nie-
przyjacielskie były zasobne w wielkie
bogactwa i dostatki. Wszystko to wraz
z wozami i sprzętem wojennym Zako-
nu pruskiego opanował żołnierz pol-
ski. Znalaziono też w obozie wiele
beczek wina, które król rozkazał roz-
bić. Nadto wpadły w ręce polskie ar-
maty i wozy naladowane samymi dy-
kami i okowami, które Niemcy, roku-
jąc sobie zwycięstwo, do pętania Po-
laków przygotowali.

Do roku 1903 zachowała się w Pol-
sce jeszcze jedna pamiątka zwycięstwa
grunwaldzkiego. Była nią uroczysta
procesja i „Te Deum laudamus” śpie-
wane rok rocznie w dniu 15 lipca w
katedrze gnieźnieńskiej na pamiątkę
wielkopomnego zwycięstwa nad Krzy-
żakami.

Ze zdobyczy grunwaldzkich nie po-
zostało dziś wiele. Jedynie pamięć
„pamiętnego zwycięstwa Polaków nad
Prusakami i Krzyżakami” nie zaginęła
na wieki, opromieniona niezniszczalną
legendą narodową.

JAN KASPROWICZ

GRUNWALDZKIE POLA

Grunwaldzkie pola, pełne chwały,
Na których wróg śmiertelny padł,
Wielkąście wiarę przekazały
Nam, dzieciom późnych lat.

Nie mamy zbrojnych dziś rycerzy
I nie przewodzi nam już król,
A przecież każdy w przyszłość
wierzy.
W plon tych chwałebnych pól.

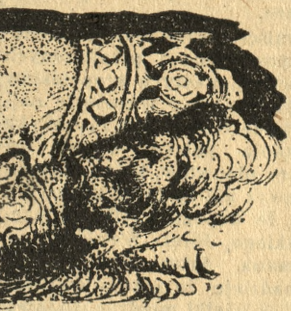
Grunwaldzkie pola! Ponad wami
Powiał zwycięski sztandar nasz!
I dziś tchórzostwo go nie splami,
Naród ma nad nim straż.

Ma go w swej pieczy naród boży,
Który z okrzykiem: „Zbaw nas!
Zbaw!”

I dziś przed nikim się nie strwoży
W obronie swoich praw...

Znana nam bowiem jest nowina
Świadectwo dawnych, wiecznych
kart,
Ze tylko lud, gdy się nie zgina,
Wiecznego życia wart.

Grunwaldzkie pola, pełne chwały,
Na których wróg śmiertelny padł.
Wielkąście moc nam przekazały,
Nam, dzieciom znojących lat.



Fragment nagrobka marmurowego króla Władysława Jagiełły
w katedrze wawelskiej.



Tak wyglądał ciężkozbrojny rycerz polski
w bitwie pod Grunwaldem (rys. wg.
postaci Wierzbickiego z Branie na obrazie
nagrobkowym).

kiej jazdy litewskiej. Jazda ciężka od-
grywała wówczas tę rolę co dzisiejsze
wojska pancerne. W roku 1410 była
więc Polska do wojny z Niemcami le-
piej przygotowana niż w roku 1939.
Zasługę tego stanu rzeczy — wg prof.
Wojciechowskiego — przypisać należy
Kazimierzowi Wielkiemu, który prze-
budowawszy Polskę pod względem go-
spodarczym, równocześnie przebudował
pospolite ruszenie, czyniąc z niego
sprawne, zbrojne ramię państwa.

Podczas gdy oddziały krzyżackie
były podzielone karnie i wzorowo wg
przynależności do swoich komturów,
czy też miast lub mniejszych jedno-
stek terytorialnych, rycerstwo polskie
wystąpiło po raz ostatni w wielkiej
bitwie pod chorągiewami rodowymi tj.
noszącymi herb rodu, do którego da-
ne rodziny należały. W bitwie pod
Grunwaldem brało udział 51 chorągwi,
czyli jednostek bojowych, z których
27 było rodowych, reszta zaś nierodo-
wych. Z tych ostatnich przypadało 15
na ziemię a więc była chorągiew
krakowska, sandomierska, lubelska, po-
znańska, kaliska, przemyska itd. Wcho-
dzili do nich nie tylko rycerze danej
ziemi, ale też obcy przybysze, tu więc
organizacja wojskowa opierała się na
podstawie terytorialnej a nie rodowej.
Jeżeli chodzi o chorągwie rodowe, to
kilka rodów miało więcej niż je-
dną np. ród Leliwitów miał 3 chora-
gwie, Naleczę i Sreniawici po 2, po 1
zaś Jastrzębce, Poraje, Połogi, Wienia-
wici, Gryfici itd. Warto wspomnieć,
że bodaj najlepiej pod względem u-
zbrojenia i sprawności przedstawiała się
chorągiew krakowska którą dowodził
znany rycerz Zyndram z Maszkowic
herbu Słońce — sprawujący do-
wództwo nad wszystkimi oddziałami
wielkiej polskiej armii.

Jakie znaczenie w
historii naszej po-
siada bitwa grun-
waldzka?

Była ona wyda-
rzeniem niezwy-
kłym, można po-
wiedzieć — nie-
omal cudem, je-
żeli chcemy tym sło-
wem podkreślić
wielkość niepraw-
dopodobność zwy-
cięstwa. Musimy
wiązać pod uwagę,
że przeciwko do-
brej lecz stosun-
kowo szczerzej ar-
mii polskiej i li-
tewskiej, z której
ostatnia nigdy do-
tąd w wielkiej bi-
wie nie starla się
z techniką bojową

Trudno przeprowadzać paralele
między zwycięstwami znanymi w
historii, trudno powiedzieć bezstron-
nie, czy zwycięstwo Karola Młota pod
Tours i Poitiers w roku 732 było więk-
sze niż np. zwycięstwo Napoleona I.
pod Austerlitz, czy potężniejszy był ma-
nevr Karola V pod Pawię czy też zwy-
cięstwo pod Kircholmem. Można te
rzeczy oceniać z punktu widzenia stra-
tegi, ale ileż momentów psychicznych
ileż szczegółów bardzo zasadniczych
jest nam nieznanych? Są jednak pewne
sprawdziany ogólne, zdaje się pewne i
logiczne.

15 lipca br. cała Polska obchodzi 538
rocznicę bitwy grunwaldzkiej. Rocz-
nica ta nabiera dziś specjalnie hi-
storycznej wagi, gdyż wówczas —
jak pisze wspaniały Sienkiewicz —
„Nie tylko przeniewierczy Zakon
Krzyżacki leżał pokotem u stóp
króla, ale cała potęga niemiecka,
zalewająca dotychczas jak fala,
nieszczęsną krainę słowiańską, rozbila
się w tym dniu odkupienia o piersi pol-
skie”.

Długa jest droga nasza od Grunwaldu
do Berlina, znaczona milowymi słupami
bohaterstwa oraz męczeństwa na-
rodu polskiego. 15 lipca 1948 roku
otwiera się przed nami ta sama per-
spektywa dziejowa, wywalczona hero-
icznie siłami zjednocz. Słowiańszczy-
zny — co niegdyś 15 lipca 1410 roku
pod Grunwaldem. Analogię między o-
bydwu potężnymi zmaganiem zbrojny-
mi są bardzo bliskie, choć nie brak i
różnic.

Były w historii Polski, która przecież
na tysiąclecie się rozciąga dwie kon-
cepcje historyczne i dwie myśli poli-
tyczne: bolesławowska i jagiellońska.
Pierwsza od trzech Bolesławów: Chro-
brego, Śmiałego i Krzywoustego swą
nazwę bierze. Oni to mieli oczy stale
na zachód zwrócone, w niemieckim
„Drang nach Osten” widząc słusznie
największe niebezpieczeństwo dla
młodego państwa; oni rozszerzali pań-
stwo swoje na zachód, na przedzie-
wach słowiańskich je gruntując i Sło-
wiańszczyznę w walce z germańskim
zalewem przewodząc.

Dynastyczna idea jagiellońska przesu-
nęła od państwa na wschód. Z Polską
wiązały się nowe ziemie, nowe korony
układały się na głowach jagiellońskich.

Ale idea jagiellońska spacyła ideę
bolesławowską i spacyła bieg dziejów
Polski. Przypom-
niały nam dopiero
i w całej pełni
świeża i jedyną u-
kazały ideę Boles-
ławów — ostatnie
lata. Oś polityki
państwowej prze-
sunęła się na zach-
ód. Historia dni
dzisiejszych przy-
szła nam z pomocą.
Życie Polski, jej
idea polityki za-
granicznej wkro-
czyła we właści-
we, biegiem dzie-
jów wytyczone ło-
żysko. Polska w
sojuszu z państwami
słowiańskimi
stanęła uzbrojona
przeciw Niemcom
imperialistycznym,
walcząc skutecznie
o prawa.

Jakie znaczenie w
historii naszej po-
siada bitwa grun-
waldzka?

Była ona wyda-
rzeniem niezwy-
kłym, można po-
wiedzieć — nie-
omal cudem, je-
żeli chcemy tym sło-
wem podkreślić
wielkość niepraw-
dopodobność zwy-
cięstwa. Musimy
wiązać pod uwagę,
że przeciwko do-
brej lecz stosun-
kowo szczerzej ar-
mii polskiej i li-
tewskiej, z której
ostatnia nigdy do-
tąd w wielkiej bi-
wie nie starla się
z techniką bojową

Chorągiew komtur-
stwa w Althaus.
Chorągiew Ziemi
Chełmińskiej. — Cho-
rągiew, pod którą
walczyło wielu miesz-
czan okręgu warmi-
ńskiego. — Chorągiew
komtura w Schön-
see. — Chorągiew
Tomasza Meerheim,
skarbnika Zakonu.



Chorągiew wielkiego
mistrza Ulrycha v.
Jungingen. — Chora-
giew m. Królewca.
— Chorągiew Teodo-
ryka Croe, marszałka
Inflant. Chorą-
giew m. Gdańska. —
Chorągiew komtura
stwa gdańskiego.



Rok szopenowski się zbliża

Sto lat mija od chwili, gdy przestało bić serce Fryderyka Chopina, którego genialna muzyka budzi nie tylko w słuchaniu polskim nigdy nie słabnące ukochanie, ale czarem swoim cały świat podbija. Wchodzący w jubileuszowy rok szopenowski, którego organizacją zajmuje się Instytut im. Chopina w Warszawie.

Wśród wielu różnorodnych imprez, uroczystości i koncertów najważniejszym bodaj wydarzeniem w „Roku szopenowskim” będzie wielki międzynarodowy konkurs pianistyczny o nagrody dla najlepszych polskich i zagranicznych odtwórców Chopina. Pierwszy etap eliminacyjny konkursu rozpoczął się w Warszawie w dniu 18 czerwca br. Będzie to zarazem czwarty w Polsce konkurs szopenowski, który zaświadczy ponownie o rozwoju polskiej pianistyki i przyczyni się do jeszcze większego spopularyzowania zarówno w kraju, jak i całym świecie twórczości największego geniusza polskiej muzyki. Gdzie tkwi źródło tego powszechnego uwielbienia i kultu dla muzyki Chopina?

Odpowiedź słowami Jamesa Hunekera — autora entuzjastycznej monografii o naszym Mistrzu.

„Chopin — pisze Hunecker — odkrywał w ciągu życia swego w coraz wyraźniejszej wizji bicia serca wszechświata. Mistrz swych środków, choć nie swej ziemskiej powłoki — namierzył dążyć do ucieleśnienia swych snów i przekucia ich w wieczyste dźwięki. Nie możemy pomyśleć, aby kiedykolwiek echo jego pieśni przebrzmiało. Zawsze lśnić będzie w blaskach wieczystego piękna o transcendentalnej wyżynie uczucia.” Geniusz Chopina ma znaczenie dziejowe nie tylko dla polskiej muzyki narodowej, ale wywarł on wpływ na wszystkich wielkich romantyków XIX i XX wieku, nie wyłączając nawet tak potężnych indywidualności twórczych, jak Liszt i Ryszard Wagner.

Geniusz fortepianowy Chopina stał się zarazem źródłem niebywałego rozwoju nowoczesnej pianistyki. Już za życia budził Chopin niezwykle uwielbienie kompozytorów tej miary co Liszt, Schumann i Mendelssohn — sam zachowując pewną rezerwę w sądach o innych. Cenili naprawdę i wysoko stawiali jako twórców tylko Bacha i Mozarta, ale również wobec siebie był surowym i bardzo wymagającym. Autokrytyzm Chopina przybierał nawet formę wprost samouderzenia, o czym świadczą choćby jego manuskrypty z poprzekreślanymi taktami, drobniawymi znaczkami pedalał, dokładnym palcowaniem i dokładnymi znakami trawowania. Ale najbardziej zdumiewającą cechą w tej wyjątkowej twórczej organizacji to ta szopenowska „samowystarczalność” fortepianu. Temu instrumentowi powierza wszystkie myśli i natchnienia. Nie chce pisać oper, nie czuje orkiestry, a nawet niechętnie zabiera się do instrumentacji akompaniamentów do własnych koncertów, czy też krakowiaka i Fantazji polskiej.

Ale fortepian w jego rękach staje się potęgą wstrząsającą słuchaczom bardziej niż to czyni Berlioz lub Wagner za pośrednictwem orkiestry. Chopinowi przecież zawdzięcza fortepian swoje dźwiękowe bogactwo, swój przepych, swoje królestwo wśród wszystkich innych instrumentów.

Ten wielce osobliwy artysta nie zadowolował się jednak sprawą ze swojej

wielkości. Gdy krytycy zestawiali go z Mozartem, słysząc o tym nie chce, a mówiąc o sobie zachowuje dystans w stosunku do starszego od siebie Rossiniego, a nawet Hummela.

Każdy inteligent polski zna niewątpliwie wiele szczegółów z życia Chopina, słyszał wiele koncertów szopenowskich tak bardzo od wielu lat udostępnionych przez Rozgłośnie „Polskiego Radia” i może zadawał sobie pytanie: Jak grał sam Chopin, czy był równie natchnionym wykonawcą, jak kompozytorem, czy tradycja interpretacji przekazywana przez jego uczniów jest dla pianistów obowiązująca i czy od tej tradycji oddalamy się, czy też jesteśmy jej mniej lub więcej wierni. O grze Chopina nie tylko mówią nam relacje jego uczniów, ale przede wszystkim autentyczne recenzje z koncertów Miśtrza w Warszawie i za granicą, których przedruk zawdzięczamy najbogatszej w materiał biograficzny 3-tomowej monografii o Chopinie napisanej z nakładem pracy całego życia, wielkiej erudycji i umiłowania przedmiotu przez Ferdynanda Hoessicka. Krytyki te pisane przez Dmochowskiego, Mochnackiego, czy też Dąbrowskiego dają wyobrażenie o niebywałym entuzjazmie i całkowitym uznaniu zarówno publiczności, jak prasy i fachowej krytyki dla Chopina nie tylko jako kompozytora, ale i „egzekutora” (wykonawcy).

„Pan Chopin — pisze „Gazeta Warszawska” po koncercie Chopina w r. 1830 w Warszawie — dał się słyszeć trzykrotnie tego wieczora w dziełach swego własnego utworu, których układ odpowiadał doskonałości wykonania. Wszystkie zalety znamionujące wirtuozów na fortepianie łączy pan Chopin w najwyższym stopniu: moc, biegłość, a nade wszystko czucie stanowią jego główną zaletę. Każde uderzenie jest u niego wyrazem serca.”

Wiek XIX wydał kilku wielkich potentatów gry fortepianowej, którzy byli zarazem świetnymi wykonawcami utworów Chopina. A więc przede wszystkim Franciszek Liszt, Antoni Rubinstejn i Hans von Bülow, a u schyłku XIX wieku dwie na horyzontach europejskim jaśniejące gwiazdy pianistyczne Rosjanka, słynna Annetta Essipow i chluba pianistyki polskiej — mistrz Ignacy Paderewski. Oboje zawdzięczający wykształcenie i pierwsze kroki na estradzie pedagogowi petersburskiemu, a później wiedeńskiemu Teodorowi Leszetyckiemu. Dla chopinologów naszej nie jest chyba tajemnicą, że tylko cztery kraje na świecie wydały i wydają wielkich szopenistów. Są to: Francja, Rosja dawna i obecny Związek Radziecki, Polska i po części Węgry.

Dzisiejsza pianistyka, a zarazem szopenistyka polska i radziecka stoją ciągle jeszcze pod wpływem sposobu gry i zasad interpretacyjnych wielkich artystów i zarazem pedagogów Antoniego Rubinsteina i Teodora Leszetyckiego, podczas gdy szkoła wermarska Liszt z wymarciem jego uczniów nie posiada już dziś przedstawicieli i kontynuatorów lisztowskich tradycji.

Nie ma pianistów koncertujących, którzy pominieliby w swoim repertuarze Chopina. Ale czy wszyscy są dalego szopenistami? Mimo woli przypomina mi się rozmowa ze znakomitym odtwórcą Chopina i Schumanna dziś nieżyjącym już Józefem Siłwińskim. Mówił o różnych pianistach. W pewnym momencie padły takie słowa tego wiel-

kiego pianisty: „Jest wielu grających dobrze na fortepianie, ale jakże mało artystów prawdziwych.”

Opanowanie repertuaru szopenowskiego wymaga pracy całego życia i poświęcenia czasu tylko temu jednemu kompozytorowi, ponieważ utwory Chopina choćby tylko pod względem technicznym pisane przez kompozytora, który posiadał rękę niezwykle gibką i elastyczną — nastrożają mniej sprawnym palcom niemało kłopotu i trudności. Ale dobry wykonawca Chopina, prawdziwy „szopenista” musi być nie tylko wielkim technikiem-wirtuozem, ale zarazem poetą-muzykiem, przejawiającym w interpretacji polot, poetyczność i głębię duchową, a w uderzeniu czar i piękno dźwięku. Uderzenie prawdziwego szopenisty zdolne jest do najsłabszych oddziaływań na piano aż do wyrażenia tak charakterystycznego „szepotu szopenowskiego”, jak i pełne bogactwo tonu w forte. Palce szopenisty muszą „śpiewać” na fortepianie, a kantyleny nokturnów, ballad czy mazurków musi być pełna wdzięku i niewysłowionego czaru.

Polscy pianściści z racji swego romantycznego usposobienia i przekazanych im przez wielkich naszych szopenistów tradycji — powinni być w świecie najlepszymi wykonawcami dzieł Fryderyka Chopina. Szkoła polska wydała już wielkich miary pianistów, którzy budzili i budzą zachwyt nie tylko w kraju, ale i za granicą, że wspomnę tylko Ignacego Paderewskiego, Józefa Siłwińskiego, Józefa Hofmana, Artura Rubinsteina. A miejmy nadzieję, że przygotowywany na rok 1949 wielki międzynarodowy konkurs w Warszawie odkryje nam wśród najmłodszych nowe piękne talenty, które zarazem będą sprawdzianem rozwoju polskiej pianistyki.

Umiejmy tylko wykorzystać ten niezwykle moment w dziejach naszej kultury, kiedy cały świat zwróci oczy ku drogiej nam stolicy — Warszawie i ku całej Polsce oraz będzie bacznie śledzić, jak zorganizowaliśmy „rok szopenowski” i jak wywiążaliśmy się z obowiązku godnego uczczenia i upamiętnienia 100-letniej rocznicy śmierci geniusza polskiej muzyki, którego wielbi cały świat kulturalny jako wykwit najwspanialszych cech — rasy i ducha polskiego.

JÓZEF PIEPRZYK

Przedziwne strofy

Za obrazkiem chaty
podpisany krzywymi brzozi,
za płotem z moich wierszy
żytni mieni się aksami.

Żytnia słoneczna dalekość
aż — do bólu oczu,
Wierzy, wieczne polne wyrobnice,
drogą chłodną kroczy.

Świątka rzeźbi w błękitnej zadumie
pasąc cienie w rowie — wiejski
chłopak.

Wiatr mu spod nóg zerwał się
i przepadł
w białym zbożu — jak stado kuropatw.

W drodze z Wczoraj do obcego Jutra
odpocynam w lesie ciepłych kłosów —
a na kartkach razem z żytem
pieśni moje rosną...

LESZEK PROROK

Wysychająca rzeka

(III)

Roman-fleuve zmusza do pełnego wczucia się w rytm powieści, w losy bohaterów, w ich atmosferę rodzinną, w środowisko. Zniewała do zaufania w pełni nurtowi, który niesie środkiem rzeki. Wymaga też uwagi i pamięci. Wszak ilość postaci i kwestii, jaką życie nagromadzi w tomach kilkunastu tomów, zestawia tylko z wypełnionym panopticonem Komedii Ludzkiej Balzaca, dla którego skrzętni krytycy, opracowywali istne przewodniki i skorowidze osób występujących.

Jednak powieść-rzeka daje tyleż samo, a może znacznie więcej, niżeli sama wymaga. Duże zadowolenie stwarza możliwość przedłużenia kontaktu z bohaterami, towarzyszenia im w dłuższym przedziale czasu, pełnego przeniesienia się w inną, choć niezbyt dawną epokę, możliwość śledzenia, jak narastają nowe generacje, jak obejmują dziedzictwo poprzedniego pokolenia, aby je przetworzyć. Obserwować rozwój wydarzeń, oraz potężniejące procesy zbiorowe, doszukiwać się tętnej zjawisk społecznych, szczególnie żywych i pasjonujących u du Garda i Romainsa, to efekt, jakiego nie jest w stanie dostarczyć utwór jednocy dwutomowy. Lecz na lekturę taką trzeba czasu, czasu i jeszcze raz czasu. Zaś chroniczny brak czasu daje się współczesnemu człowiekowi dotkliwie we znaki, niż inne, łatwiejsze do zaspokojenia. Lektura tasemicowych arcydzieł jest kulturalnym luksusem.

Powieść-rzeka nie pozostała wyłączną własnością literatury francuskiej. Nowy trudny, a nade wszystko pracowity rodzaj literacki, zarazem inne ośrodki pisarskie. Najwybitniejszego ucznia znalazł w J. Galstworthym, którego „Saga Rodu Forsythów” wytrzymuje, niejednokrotnie zwycięsko, porównanie z najcenniejszymi cyklami francuskimi. W piśmiennictwie rosyjskim dał powieść-rzekę Szolochow (Cichy Don). Wpływ ten sięgnął poza ocean, a zarazem w dziedzinę literatury średniej rozrywkowej. Jej przykładem — jedna z nielicznych znanych u nas książek kanadyjskich, „Rodzina Whiteoaków” Mazo de la Roche.

Wpływ ten sięgnął również do Polski, lecz nie znalazł na naszym gruncie zbyt wielu naśladowców. Polski roman-fleuve to „Dni i noce” Dąbrowskiej, uznane przed wojną przez niektóre koła literackie za utwór, mogący pretendować do nagrody Nobla. Już sam tytuł cyklu przywodzi na myśl rozlewność wątku, charakterystyczną dla tego rodzaju literackiego. I tu natrafiamy na podobną rodzinno-kronikarską konstrukcję. I tu obraz obyczajowy zajmuje wiele miejsca. I tu pierwsze salwy 1914 r. (bombardowanie Kalisza) zamykają rozprawę z wiekiem XIX. Poza kaliską sagą Rodu Niechciców, brak wybitniejszej powieści-rzeki w naszej współczesnej literaturze. Twórcy nasi wolą się trzymać tradycyjnej dla polskiej gleby — trylogii. Każdy nieomal z pisarzy większego kalibru chętnie jej hołduje. Często uważa ją za chef d'oeuvre swego życia, Rydzko który w rozmiastrze utworu wyraża poza nią. Wszak to u nas zwykło się mawiać: do trzech razy sztuka; do trzech części zatem... sztuka, w szanując się powieści. Skrupulant zechce się może w tym do-

szukiwać odległego wpływu aż triady heglowskiej.

Już krótki okres powojenny rzucił na rynek wydawniczy kilka nowych trylogii. Jeszcze jedną zapowiedział lwaskiewicz.

Wydaje się, że wielotomowa powieść-rzeka przeżyła już swój najlepszy okres. Jako rodzaj literacki należy do przeszłości, choć i dziś nie brak na świecie emerytowanych ministrów i ludzi ich pokroju.

Chorobliwy brak czasu i rozproszenie uwagi przeciętnego czytelnika w wirze zajęć, spraw, kłopotów i rozrywek, sprawiają, że szuka on przede wszystkim książki łatwiejszej, skondensowanej. Zawrotne tempo współczesnego życia nauczyło nas cenić zwięzłość. Nie pozostało to bez wpływu na pracownię literacką. Myślę tu głównie o najbliższych nam — pracownikach polskich. Objaw ten najwyraźniej wystąpił po wojnie. Trafnie oceniła go krytyka, zwąc pierwsze lata powojennej twórczości pisarskiej „okresem małych form”. Kondensacja treści i wyrazu jest dziś częstym dążeniem tak mistrzów, jak i narybku. Zaś zwięzłość wolna od trywialności nie jest łatwym zadaniem.

Poza zagadnieniem techniki literackiej, zagadnieniem Parnasu, istnieje również praktyczny, życiowy moment sprawy. Zwięzłość konstrukcji natrafia przecież na życiowości wydawców, borykających się z różnymi trudnościami okresu powojennego, ponadto zwiększa znacznie szanse poczytności u odbiorców. Te czynniki w pierwszym rzędzie przesądziły o detronizacji roman-fleuve. Ocalałe po wojnie rzędy tomów Prousta czy du Garda nie stanowią dziś pokarmu masy spożywcy, są jedynie pożywką smakoszy.

Przeciętna powieść staje się coraz krótsza. Gdyby sporządzić statystykę (piękne zadanie dla seminariów polonistycznych) rozmiarów cenniejszych wydawnictw beletrystyki powojennej, w porównaniu do stanu sprzed lat kilkunastu, czy nawet kilkudziesięciu, stwierdzilibyśmy najprawdopodobniej spadek objętości o kilkadziesiąt stron. Nie wyklucza to oczywiście wyjątków o tendencji przeciwniej. Nie sposób na razie przewidzieć czy zmiana ta jest przejściowa, czy świadczy o pewnym stałym kierunku rozwojowym. Wydaje się jednak, że powieść krótka, zwięzła, rezygnująca z wszechstronności opisu i z „wielopłaszczyznowości” widzenia, ma dużą przyszłość przed sobą, że jest rodzajem który najłatwiej trafia do współczesnego czytelnika. Nagłecie się do tego, również niełatwego rodzaju pisarskiego, będzie dla wielu piszących zabiegami irygacyjnym, odwodnieniem sposobu tworzenia.

Przykładów krótkich powieści mamy w bród. Nasuwa się jeden z nowszych i jeden z bardziej jaskrawych — „Nagrodek” Otwinowskiego.

Jedno jest pewne. Powieść-rzeka, królowa belestryki europejskiej w okresie międzywojennym, roman-fleuve du Gardów i Duhamelów jest rzeką wysychającą nawet we własnej ojczyźnie. Nic nie słyhać o próbach kontynuacji tego rodzaju we Francji. Czy wysycha koryto tej literatury, która gdzieś indziej skierowała swój nurt — wiecznie żywy, ożywi się jeszcze, przyszłość pokaże.

Z. STAROWIEYSKA-MORSTINOWA

Do nieba — na pół drogi

Każdy kraj, każda okolica ma swój gatunek budowli, który jest jej tak samo właściwy, jak pewne ziola i trawy są właściwe jego glebie.

Tym przyrodzonym budownictwem Ziemi Wielkopolskiej wydaje się być renesans, może jeszcze bardziej barok — strojny, ozdobny, ale jeszcze nie pozbawiony szlachetnej prostoty, młody barok początku. Nie dlatego, że style te, tu się zrodziły — wiemy że ich ojczyzna jest daleko, ale dlatego, że one właśnie najbardziej odpowiadają stylowi tutejszego krajobrazu i psychice tutejszych ludzi.

Tak rozmyślałam patrząc na kompleks budowli na Świętej Górze pod Gostyniem w dniu największego w tym kościele odpustu, w pierwszy dzień Zielonych Świątek. Wśród tego bogactwa w jakie się stroi ziemia na przełomie wiosny i lata, wśród soczystej zieleni drzew, płynnej pod dotknięciem wiatru, wznosi się kompleks tych budynków trochę skomplikowany, bardzo bogaty, bardzo strojny, ale także pełen dostojnej prostoty! Tak, ta właśnie linia, to bogactwo, ta dostojność, są tu na miejscu. Takiego piękna, takiego kościoła, potrzebuje tutejsza ludność.

A w ów odpustowy dzień płynęły jej nieprzebrane tłumy (obliczano je na osiemnaście tysięcy) zewsząd podchodziły pod Świętą Górę olbrzymie, gwiazdzystym raidem, wiodąc ku jej białemu renesansowemu bogactwu

barwność sztandarów i feretronów, otaczając je zewsząd pieśnią, jak kadzielnymi dymami. Myślałam — patrząc z góry — że to wiosna na marszu.

A gdy tłum dochodził na górę, chorągwie, feretrony, bracia różańcowi w komeżkach, małe kardynałskie piccola, dumnie obnoszące swe birety — cała oficjalna część pielgrzymek — zniknęła od razu we wnętrzu kościoła, wpływała na jego cmentarz, ale część tłumy zostawała na zewnątrz — na obejściu.

Czyż jest w ogóle coś bardziej polskiego jak tłum odpustowy? Oczywiście to nie był taki odpust z wirującymi karuzelami, z pięjącymi kogutami, z wróblemi papugami i z strzeleckimi zawodami, jaki odbywa się co roku na Emaus, w Krakowie, na Zwierzyńcu. Tu odpust jest tak poważny i dostojny jak lud. Kilka kramów z dewocjonaliami i jedzeniem, jakaś jedna harmonijka w harcerskim namiocie. A naokoło piękne bogate bryki, zaprzężone w spąsne, dobrą paszą i pilnym grzeblem lśniącej konie. Z bryk schodzą dostojne gospodynie, w faldzystych spódnicach i szerekach, na wierzach wyrzucanych kaftanach. Na głowach mają olbrzymie, kremowe chustki, spływające z tyłu sutą frędzlą, aż do pasa. Wśród „kuso”, w modne kostiumiki ubranych dziewcząt, wyglądają tak, jak zapewne wyglądali rzymscy, w togę owinięci senatorowie pośród kosmopolitycznego tłumy, klebiącego się na Forum. Ale choć więk-

szość tłumy — zwłaszcza jego połowa męska — ubrana jest już z miejska, nie rażą tu te piastowskie matrony w kremowych chustkach, nie rażą małe diewczyneczki w białych, pod brodą wianych kapuzkach, nie rażą nawet biskupiarki spod Krobi, w już jawnie



Cudowny obraz Matki Boskiej Gostyńskiej.

i agresywnie folklorystycznych czepcach. Małe te rurkowane czapeczki, osadzone na głowach jak okrzęcki i pod brodą batystowymi przytrzymane szlarkami, harmonizują doskonale z ondulowanymi głowami dziewcząt i zawadiacko przekrzywionymi kapelusikami młodych kobiet. Bogata, dostojna

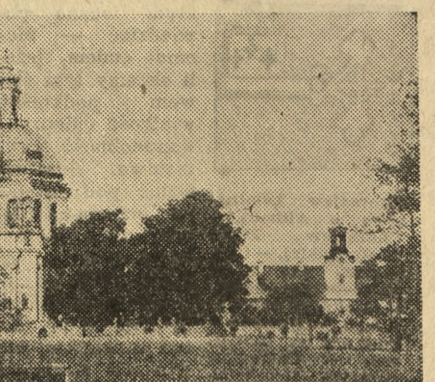
wieś poznańska idzie w postępie w sposób naturalny i prosty, idzie naprzód a równocześnie trwa w starym obyczajach. Umie to godzić.

Tu na Świętej Górze młodzi i starzy, postępowi i tradycjonalisci wszyscy ozdobieni jak orderami małymi, na kolorowych wstążeczkach przymocowanymi, medalikami garną się na nabożeństwo. Jest widoczne, że tu, w tym radosnym, renesansowym kościele czują się dobrze. Nie, nie dla tego dostojnego rozumnie i spokojnie wierzącego tłumy gotyckie strzelistości, gotyckie mroki i gra witrażowych blasków. Ten lud prosty, trzeźwy i praktyczny dobrze się czuje w ładzie i umiarze renesansu, może trochę już ozdobionego wystawnością baroku. To mu odpowiada.

A takim właśnie renesansowym, barokiem uśmiechniętym jest Świętogórski Kościół. Architekt budujący go dostał do rozwiązania nie lada krzyżówkę: nie miało być w kościele ani jednego mrocznego zakamarka, światło miało być rozproszone równo, stojąc w środku miało się widzieć wszystkie boczne ołtarze, stojąc w drzwiach wejściowych tylko ołtarz główny. Mistrz Longhena szczególnie w zadaniom tym sprostał. Kościół jest jasny jak ziemia w czerwcowe południe. I ołtarze widać tak, jak chciał fundator:

główny z wejścia, wszystkie ze środka. Światło nie wchodzi doń jak zwykle do kościołów paroma wysoko umieszczonymi oknami. Wchodzi strumieniami zewsząd, ze wszystkich stron. Nie jest pewne czy nie przenika nawet ekras murów. Ojcowie Filipini przeczą temu, ale i tak pewna nie jestem. Bo ściany takie jakieś blade zielonkawe, właśnie jak światło majowe, i w ogóle w tym kościele jest trochę jak w lesie.

Jest jak w lesie zielono. Właśnie trochę od tych ścian, co to nie wiadomo: malowane pędzlem czy majową światłością, trochę od otaczających kościół lip, a trochę od młodych brzoźek, które na pewno wbrew zasadom renesansu, ale jakże zgodnie z zasadami polskiej, odpustowej świąteczności, zdobią wnętrza, w ów dzień uroczysty. Jak las jest to wnętrze nieprzeniknione a przejrzyste, mylnie a jasne, pozornie ograniczone a w rzeczywistości



Kościół i klasztor ks. ks. Filipinów w Gostyniu.

-- Świetnie! — zawołał Edward. — Dawno już chciałem zobaczyć miasto!
— Hola! — roześmiał się Robin. — Nie pójdziemy tam przecież wszyscy. Szeryf za bardzo by się przeraził.

— Ależ w Nottingham nie będzie ci bardzo bezpiecznie samemu. Lepiej, że będziesz miał nas przy boku — wtrącił Arnulf.

— Nie będę urządził żadnych awantur — tłumaczył Robin Hood. — Chcę tylko oświadczyć szeryfowi, że postępuje nieprawnie, wydając na mnie zaoczny wyrok.

— Jest w tym jednak trochę ryzyka, — uznał Ryszard.

— A więc biorę dwóch ludzi: Ryszarda i Arnulfa.

— Znów nie zobaczę miasta — westchnął Edward.

— Reszta — ciągnął Robin — czekać będzie na nas w pobliżu miasteczka. Kto wie, może będzie potrzebna nam odsiecz. Wtedy o umówionej porze zaatakujecie jedną z bram miejskich. Zrobi się zamieszanie, a my postaramy się to wykorzystać.

— To jest dobra myśl — pocieszył się Edward.

— Zabierzemy także Bena, który tęskni już do Nottingham — zakończył Robin.

Następny dzień poświęcono na przygotowania do drogi, wreszcie jeszcze o wczesnym brzasku Robin Hood z towarzyszami wyruszył na nową, ryzykowną wyprawę.

Jechali na wozie, zaprzężonym w parę niezłych koników. Arnulf powoził, Robin Hood siedział koło niego na sнопku słomy. Z tyłu leżały dwie zabite i odarte ze skóry krowy i siedzieli Ryszard z Benem.

Pozostali czterej towarzysze wyruszyli za nimi piechotą pod dowództwem Edwarda, który tak był dumny z tej roli, że zapomniał, iż ominęła go przyjemność poznania Nottingham.

Robin i jego towarzysze owinięci byli w długie, ciepłe płaszcze z kapturami, tak, że sprawiali wrażenie ubogich rzeźników, którzy wieźli do miasta mięso ze wsi. Miecze mieli krótko przywiązane pod płaszczami, a łuki ukryte w słomie na dnie wozu.

Dzień był mroźny. Ziemia dobrze podmarzła. Jechali bardzo szybko, nie zatrzymując się po drodze. Było jeszcze kawałek do południa, gdy ujrzeli mury miasta Nottingham. Przez bramę przejechali bez żadnych przeszkód, bo był to dzień targowy i wiele wozów z pobliskich wsi zjechało do miasta.

— Co zrobimy z tym mięsem? — zapytał Arnulf Robina. — Najlepiej byłoby sprzedać je hurtem jakiemu rzeźnikowi.

— Co znowu! — Obruszył się Robin. — Żeby zarobił na tym grubo, sprzedając mięso biedakom po wysokiej cenie. Będziemy sprzedawać sami.

— Ależ nie potrafimy należycie poćwiartować całej sztuki... Nie wiemy, jaka jest cena mięsa...

— Ben nam pomoże! Jest piekarzem, ale zna się na pewno również na rzeźnictwie — odparł beztrząsliwie Hood.

Ale właśnie Ben, nie słysząc poprzedniej rozmowy — ponieważ wóz głośno turkotał — przysunął się do Robina i powiedział:

— Chciałbym skoczyć najpierw do domu. Jestem niespokojny co się tam dzieje. Nie byłem tu przecież prawie trzy tygodnie. Powiedz mi, gdzie mam was później szukać.

Robin zastanowił się chwilę.

- Idź! Za godzinę zastaniesz nas na rynku. Będziemy tam sprzedawać mięso. Ben zeskokczył z wozu i rażnym krokiem ruszył w stronę swej piekarni, a Robin jechał dalej, oglądając się za jakąś gospodą.

Zajechali w podwórze gospody pod „Złotym Dębem“, wynajęli izbę na pięterku, płacąc za całą dobę z góry i przenieśli do niej swoje tłumoki, ukryte na dnie wozu.

— Muszę się najpierw przebrać — oświadczył Robin Hood. — Chcę dziś wyglądać bardzo okazale, bo przecież wybieram się z wizytą do samego szeryfa.

Rozwinął swój tobolek i wyjął z niego swe uroczyste ubranie. Nałożył kurtkę z jasnego zielonego sukna gęsto wyszywaną złotymi ozdobami, obcisnął się



Brać go! — krzyknął szeryf wielkim głosem i podniósł w górę rękę, w której machinalnie ścisnął dotąd puchar napęczniony winem. Furknęła strzała, trafiła prosto w ten puchar

złocistym pasem z klamrą, ozdobioną cennymi kolorowymi kamykami, rzucającymi piękne ognie.

Na piersiach przypiął srebrną broszę, w kształcie strzały, zdobytą na zawodach łuczniczych. Ale miecz przywiązał krótko, aby nie brząkał pod płaszczem,

a łuk i kołczan przymocował na plecach. Gdy na to wszystko naciągnął bury płaszcz, nikt by się nie domyślił, że pod tą opończą ukryte jest strojne ubranie i dobra broń.

— A teraz jedziemy na rynek! — zarządził.

Arnulf znów chwycił lejce, a Robin musiał jechać stojąc na wozie, ponieważ przypięty na plecach łuk nie pozwalał mu usiąść.

Gdy Ben Piekarz, odwiedziwszy dom swojego majstra, zjawił się po godzinie na rynku, z przerażeniem ujrzał z daleka wielkie zbiegowisko w pobliżu jatek rzeźnickich.

— Co się tam dzieje? zapytał jakaś kobietę pędem biegnącą w tamtą stronę.

— Jakiś wariat za pół darmo sprzedaje mięso — odpowiedziała mu, nie zatrzymując się ani na chwilę.

— Podobno to mnisi przywieźli mięso specjalnie dla ubogiej ludności — dodał jakiś mieszczanin, dążący również w stronę zbiegowiska.

— Ładna historia! — pomyślał Ben. — Zrobi się awantura i zamkną go, zanim zobaczy szeryfa.

Rozpychając tłum, przeciskał się do wozu. Omal nie zemdleł z przerażenia, ujrawszy następującą scenę: Na wozie stał Robin Hood i, wymachując w powietrzu okrwawionym toporem, wykrzykiwał:

— Proszę bardzo! Proszę bardzo! Sprzedajemy mięso po cenach dostępnych dla najbiedniejszych. Komu głowę, komu ogon, komu poledwice, a komu od karku. Bierzcie, kobiecino! Dla was jeden grosz za całą łopatkę. Macie tu jeszcze na dodatek kawał wątroby. Wy, dobry człowieku, chcecie kawałek od krzyża? Zaraz wam urąbiemy!

Walił toporem w mięso, odrębując wielkie kawały i rozdzielał je pomiędzy tych, którzy z wyglądu zdawali się być najbiedniejsi.

— Co ty robisz, Robinie! — zawołał z oburzeniem Ben. — Przecież krowy nie ćwiartuje się w ten sposób.

— Masz rację, przyjacielu. Niezbyt zgrabnie idzie mi robota. Masz topór i stań na moim miejscu. Ale sprzedawaj tanio. Te krowy to przecież dar dla biednych miasta Nottingham. Dar od Robina Hooda.

Na dźwięk tego imienia w tłumie zapadła nagle cisza. Przecież to nazwisko ogłoszone zostało niedawno jako nazwisko wielkiego rozbójnika. Na jego głowę nałożono cenę.

Ale Robin Hood, śmiejąc się głośno, zeskoczył z wozu i wmieszał się w tłum. Ben tymczasem chwycił topór i zręcznymi uderzeniami zaczął dzielić mięso. Ludzie, zapominając o Robin Hoodzie, zwarli się znów koło wozu. Cisnęli się, aby dostać mięsa.

Arnulf został na wozie przy Benie, a Ryszard podążył za Robinem. Dogał go na uliczce, wiodącej do normańskiego zamku.

— Popelniasz szaleństwa, mój drogi — powiedział do niego. — Ogłosiłeś swoje imię. Rozejdź się to po mieście. Zaczną cię szukać...

— Musiałem zawiadomić szeryfa o swoim przybyciu. Nie chcę mu robić niespodzianki. Idź teraz, Ryszardzie, do gospody. Posilcie się. Zabierzcie nasze rzeczy. Wyjedźcie wozem z miasta i zostawcie go w pobliskiej wsi. Wieczorem czekajcie na mnie w gospodzie. Na wszelki wypadek postarajcie się zapoznać ze strażnikiem północnej bramy. Do widzenia Ryszardzie!

Ryszard zatrzymał się na środku ulicy. Musiał wolno powtórzyć je sobie, aby zapamiętać wszystkie w tak szybkim tempie wydane rozkazy. A Robin szybkim krokiem szedł w stronę zamku.

Gdy zbliżył się już do bramy, zwolnił kroku, zgarbił się, naciągnął kaptur na oczy. Skierował się wprost do furtki. Strażnik zastąpił mu drogę.

— Laudetur Jesus Christus! — powiedział Hood cienkim, trzęsącym się głosem.

Strażnik z szacunkiem przepuścił go przez furtkę. Pomyślał, że to jakiś mnich idzie do zamkowej kaplicy na modły. Rzeczywiście mnich skierował się w stronę kaplicy.

ROZDZIAŁ VII

w którym Robin Hood wypowiada szeryfowi otwartą walkę w obronie wolności i sprawiedliwości.

Wiść o pojawieniu się w mieście banity Robin Hooda dotarła do szeryfa w czasie obiadu. Wpadł w wielką złość i kazał szukać go po całym mieście, aresztować i wsadzić do więzienia za wszelką cenę. Patrole rozbiegły się we wszystkie strony miasta. Ale raport o uwięzieniu banity jakoś nie nadchodził. Zbliżyła się godzina wieczery. Szeryf zasiadł do stołu w towarzystwie kilku rycerzy.

Wtedy na salę wszedł sierżant straży, Szymon, zwany Pijawką, słynący z pięknych czarnych wąsów i umiejętności wypicia jednym tchem galonu piwa albo wina.

— Jakie wiadomości, sierżancie? — zapytał szeryf swego ulubieńca.

— Uciekł, wasza miłość! — ze smutkiem zaraportował Pijawka. — Jeśli to był naprawdę Robin Hood. Otrzymaliśmy bowiem raport, że banita rozdaje mięso ubogim na rynku. Nasz patrol pobiegł go przytrzymać. Ale okazało się, że: po pierwsze — nie rozdaje, lecz sprzedaje tylko po trochę niższej cenie, a po drugie — nie Robin Hood tylko Ben Piekarz, znany ogólnie mieszkaniac Nottingham.

— Piekarz sprzedaje mięso? — zdziwił się szeryf.

— Tak jest! Był piekarzem, ale obecnie zmienił zawód. Jeśli wasza wielmożność zechce posłuchać, wyjaśnię to pokrótce. Pracował on u mojego teścia, ojca Elżbiety, którą poślubiłem w zeszłym tygodniu. Otóż chłopak kochał się w mojej obecnej żonie, a widząc, że nic z tego nie będzie, gdyż ona... rozumie wasza wielmożność... — tu sierżant musnął z kokieterią zabójcze wąsy. — Słowem opuścił pracę i wziął się do rzeźnictwa.

— I cóż musiałeś go wypuścić? — spytał szeryf.

— Nie chciałem wywierać zemsty na takim rywalu — uśmiechnął się ironicznie sierżant.

— A jeśli Ben jest jednak w zмовіе z bandytą? — zapytał szeryf

Sierżant zmieszał się lekko. Wolał nie badać bliżej tego tematu, aby nie przyznać się, że zajęci aresztowaniem Bena strażnicy pozwolili umknąć jego współnikowi z wozem i końmi.

— Jest mieszkańcem Nottingham, wasza wielmożność — tuszował sprawę — w każdej chwili możemy go ująć.

— A o Robin Hoodzie nic więcej nie słyszałeś?

— To była na pewno tylko plotka. Ludzie opowiadają różne bajki o tym bandycie. Rośnie o nim śmieszna legenda. Gdzieżby on odważył się zjawić w mieście, wiedząc, że grozi mu śmierć.

— Tak! I śmierć go nie ominie! Król podpisał już na naszą prośbę wyrok, skazujący go na banicję.

— Protestuję! — rozległ się nagle dźwięczny głos od strony drzwi.

Biesiadnicy mimo woli zwrócili głowy w tamtą stronę. W drzwiach stał w bury habit ubrany mnich, trzęsący się i zgarbiony.

— Co to ? Kto to? — wykrzyknął szeryf.

Nagle mnich wyprostował się, zrzucił kaptur, zerwał z ramion bury habit. Jednym skokiem znalazł się na podwyższeniu, na którym umieszczano kapełę w czasie uczt dworskich.

Z ust zebranych wyrwał się krótki okrzyk.

Przed nimi stał w całej krasie Robin Hood. Złote ozdoby połyskiwały na bogatym stroju, drogie kamienie lśniły na złotym pasie.

W rękach trzymał łuk gotowy do strzału.

— Nie ruszać się z miejsc! — zawołał. — Chcę wam tylko kilka słów powiedzieć. Słuchaj, szeryfie Nottingham, i wy wszyscy, słuchajcie. Ja, Robin Hood, wolny syn tej ziemi, przyszedłem tu, aby zaprotestować przeciwko nieprawnie wydanemu wyrokowi. Nikt w tym kraju nie ma prawa sądzić mnie zaocznie za winy, których nie popełniłem. Powiedz to, szeryfie, królowi Ryszardowi, zwanemu Lwim Sercem, że nie uznaję za żadną winę tego, o co mnie oskarżasz. Nigdy nie przestanę zwalczać gwałtu, grabienia biedaków, gnębienia niewinnych. Zawsze tępić będę wyzysk, nadużywanie władzy przez możnych, bogacenie się przez oszustwa i kradzieże. Jeśli spotkam kiedy króla, sam mu to powtórzę. A wtedy nie wiadomo komu przyzna rację. Stać! — krzyknął nagle, bo jeden ze strażników próbował, myląc, że Robin Hood tego nie widzi, sięgnąć po oszczep, wiszący na ścianie.

— Brać go! — krzyknął szeryf wielkim głosem i podniósł w górę rękę, w której machinalnie ścisnął dotąd puchar napełniony winem.

Furknęła strzała, trafiła prosto w ten puchar i wino bryznęło, zalewając oczy szeryfowi. Zaklął ciężko, puchar wypadł mu z ręki. Rękawem przecierał oczy, zalane trunkiem.

Ośmielona jednak tym ruchem gromada żołnierzy i gości ruszyła na Robin Hooda. Zdążył wypuścić jedną tylko jeszcze strzałę. Jeden z napastujących, trafiony w piersi, zwałił się z jękiem na podłogę. Dwóch następnych potknęło się o niego.

Robin Hood błyskawicznie przerzucił łuk przez plecy i wyciągnął miecz z pochwy.

Zawrzała krótka, lecz zacięta walka. Przewaga nacierających była przygniatająca. Ale Robin Hood, jak dobry strateg, już poprzednio przewidział wszystkie możliwości walki. Pomyślał też o odwrocie.

Puścił miecz w błyskawiczny młynek. Zmusił atakujących do cofnięcia się o kilka kroków. Sam górował nad nimi stojąc na podwyższeniu.

Nagle wielkim susem skoczył w tył. Stał przy oknie, na wysokości jego

parapetu. Mocnym kopnięciem wywalił całą ramę. Skoczył na parapet, a nim napadający domyślił się, co zamierza czynić, dał wielki skok w ciemność.

Podbiegli do okna. Jeden z żołnierzy, rozgrzany walką, śladem Robin Hooda wyskoczył przez okno, ale nie wiedział, że wysokość jest tak znaczna. Upadł ciężko, złamał nogę i krzyczał głośno z bólu.

— Na podwórzec, na podwórzec! — krzyczał sześyf na całe gardło. — Zamknąć bramę. Nie wypuszczać nikogo. Nie ujdzie nam, nie może ujść!

A tymczasem Robin Hood...

Poprzednio już, kręcąc się jako niepozorny mnich po podwórzu zamkowym i samym zamku, zbadał, że w pobliżu okna sali jadalnej rośnie ogromne drzewo, z mocnymi konarami. Skacząc z okna, chwycił się rękami za jeden z konarów i następnie szybko ześlizgnął się po drzewie na ziemię. Przebiegł kilkadziesiąt kroków, kryjąc się w cieniu murów. Wiedział, w którym końcu podwórza znajdują się koszary straży i mieszkania dowódców. Jego plan polegał teraz na tym, aby dostać się do koszar, siłą lub podstępem zdobyć mundur strażnika i w tym przebraniu wyczekać odpowiedniej chwili na wydostanie się z zamku.

Stał pod oknami koszar. Biegąca za nim pogoń wypadła już z zamku i z pochodniami biegła pod okno, którym on wyskoczył, a pod którym leżał strażnik ze złamaną nogą. Nie było chwili do stracenia. Dojrzał, że najbliższe okno, położone niezbyt wysoko od ziemi, było uchylone. Wspiął się i zajrzał do wnętrza. Izbę oświetlał tylko blask kominka. To nie były koszary, lecz mieszkanie któregoś z dowódców. W izbie nie dojrzał nikogo.

— W imię Boże! — pomyślał.

Podciągnął się na rękach, pchnął okno i stanął na parapecie. Zeskoczył lekko do środka.

Drgnął, gdyż usłyszał lekki okrzyk strachu.

— Przepraszam najmocniej — powiedział, siłąc się na swobodę. — Zdaje się, że popełniłem omyłkę. Myślałem, że nie ma tu nikogo.

— Boże święty! Robin Hood! Co robisz tu, szaleńcze?! — rozległ się stłumiony okrzyk.

— Za dużo niespodzianek, jak na jeden raz! — pomyślał Robin, zbliżając się w kierunku głosu.

Przy kominku, w wygodnym krześle siedziała jakaś kobieta. Starał się przy tym słabym świetle rozpoznać jej rysy.

— Elżbieta! — wykrzyknął niemniej zdumiony. — To raczej ja powinienem zapytać, skąd się tutaj wzięłaś.

— Wariacie! Ja tu mieszkam od tygodnia. Jestem żoną sierżanta Szymona Pijawki. Ale ty?! Co za szaleństwo wepchnęło cię tu, do jaskini twoich największych wrogów?

— Biedny Ben! — westchnął Robin Hood — Zmarłwi się bardzo, gdy dojdzie do niego ta wiadomość.

— Ale co ty tu robisz, Robinie? — niepokoili się Elżbieta. — Co to za hałas i zamieszanie na podwórzu zamkowym?

— To mnie gonia! Musisz mi pomóc, Elżbieto. Prawdziwe to dla mnie szczęście, że cię spotkałem. Nie odmówisz mi przecież swej pomocy?

— Jesteś szaleńcem, Robin Hoodzie! — ze złością wykrzyknęła Elżbieta. — Nie zastanawiasz się nawet, na co mnie narażasz. Jakże mogę ci pomóc? Jestem przecież żoną sierżanta królewskiego...

— Rzeczywiście — zasepił się Robin — jestem skończonym głupcem! Twoim obowiązkiem jest teraz wezwać strażę i wydać mnie w ich ręce. Jesteś przecież na służbie króla. Bardzo cię przepraszam, Elżbieto!

To mówiąc, podszedł do okna, otworzył je i postawił nogę na parapecie.

— Stój, wariacie! — zawołała Elżbieta, podbiegając do niego żywo. Odciągnęła go od okna. — Nie widzisz, co się dzieje na podwórzu?!

Podwórzec był oświetlony, jak w dzień. Kilkudziesięciu ludzi z płonącymi pochodniami w rękach, biegło w różne strony, zaglądając do wszystkich kątów i zakamarków.

— Mógłbym szybko przebiec przez podwórzec. Zanim się zorientują, przełknę się przez strażę przy bramie — zauważył, oglądając sytuację — Droga jest prosta, jak strzelił, a niespodziewane zjawienie się wśród nich dałoby mi duże szanse.

— Wiem, że jesteś zdolny do największych szaleństw — obojętna Elżbieta. — Ale tutaj nie widzę żadnych szans. Ano, widocznie sądzono mi jest pomagać ci w oszukiwaniu szeryfa i jego strażników. Spróbuję cię i kochać.

— Jesteś aniołem, Elżbieto — zawołał wesoło. — Wiem, że robisz to nie dla mnie, lecz dla sprawy, w imię której walczę z szeryfem. A walczę o wolność!

Nim zdążyła mu odpowiedzieć, objął ją mocno w pól, przytulił mocno do siebie i wycisnął na jej ustach mocny pocałunek. Poddała mu się przez chwilę, a potem odepchnęła nagle.

— Zlituj się, Robinie! Co robisz? — jęknęła — jestem przecież żoną...

— Wiem! Królewskiego sierżanta. Ale co tam! Zdradzasz króla, możesz też przy okazji uchybić wierności dla męża.

— Jesteś okropny — oburzała się. — Tracisz czas na głupstwa, a trzeba myśleć o ratowaniu życia.

Rozejrzała się po komnacie. Podeszła do wielkiej skrzyni, stojącej pod ścianą. Podniosła jej wieko. Zaczęła szybko przekładać i wyjmować z niej różne części kobiecych strojów. Układała je na ławie.

— Musisz wleźć do tej skrzyni. Zmieścisz się doskonale. Posiedzisz, dopóki nie uspokoi się zamieszanie w zamku. A później spróbuję cię wyprowadzić...

— Nie będzie to zbyt przyjemne — grymasił Robin.

— Na pewno będzie to wygodniejsze i przyjemniejsze miejsce, niż skrzynia w izbie tortur — zapewniła go Elżbieta.

— A jeśli wróci twój czcigodny mąż?

— Będziesz musiał przeczekać aż usnie.

— Bah! A jeśli zaczniesz czulić się do ciebie?

Elżbieta roześmiała się nerwowo.

— Czy sprawi ci to wielką przykrość?

— Nie ręczę, czy wysiedzę spokojnie w skrzyni. Wskoczę i uduszę go gołymi rękami.

— Postaram się, aby do tego nie doszło — zapewniła. — No, Robin Hoodzie. Włóż szybko do skrzyni i siedź spokojnie, póki cię sama nie wypuszczę.

Robin wdychając zabawnie ulokował się w przestronnej skrzyni, zagrzebując w stosy kobiecych sukien.

— Na razie wieko może być uchylone, ale gdy tu kto wejdzie, musisz je natychmiast zamknąć. Myślę, że się tam nie udusisz.

Teraz Elżbieta zapaliła łuczywo i umieściła je w żelaznym uchwycie nad

kominem. Przy jego świetle doprowadziła pokój do porządku, poukładała rzeczy, wyjęte ze skrzyni. Podeszła do okna i wychyliła się na podwórze.

Hałas i biegania już się znacznie uspokoiły, chociaż żołnierze z pochodniami krążyli jeszcze w różnych kierunkach podwórza.

— Co się tam dzieje? — spytała Elżbieta przechodzącego pod oknem żołnierza. — Czemu urządzacie jakieś hałasy po nocy?

— Szukamy niebezpiecznego ptaszka. Mieliśmy go już prawie w rękę i prześlizgnął się nam między palcami — odpowiedział żołnierz.

— Trzeba było mocno ścisnąć kufak — roześmiała się.

Odeszła od okna. Przyniosła z komórki duży dzban wina i postawiła na stole obok głębokiego kielicha. Przyniosła później niewielką, rzeźbioną w czarnym drzewie kasetkę. Otworzyła ją i przez dłuższą chwilę szukała czegoś w jej wnętrzu. Wyciągnęła niewielki płócienny woreczek, zanurzyła weń palce i wydobyla szczyptę czarnego jakiegos proszku. Obejrzała się ostrożnie na drzwi i okno, czy jej kto nie obserwuje. Robin Hood ze skrzyni nie mógł widzieć ruchu jej rąk, była bawiem odwrócona tyłem. Wsypała proszek do kieliszka. Schowała woreczek i odniosła kasetkę do komórki.

W kilka chwil później na korytarzu rozległy się ciężkie kroki kilku ludzi. Rozwarły się drzwi izby. Na progu stanął sierżant Szymon Pijawka, a za nim kilku uzbrojonych od stóp do głów strażników.

Sierżant rozejrzał się po pokoju, skinął ręką idącej ku niemu żonie i zwrócił się do żołnierzy.

— Tu go nie ma! Idźcie dalej i przetrząśnijcie koszary izba za izbą. Nie jest myślą. Musicie go przecieź znaleźć. Ja wypocznę trochę, bo zmęczony jestem diabelnie. Ođ rana gonie bez przerwy za głupim obwiesiem.

Elżbieta rzuciła niespokojnie wzrokiem w stronę skrzyni, ale uspokoiła się, bo zamknięte wieko nie drgnęło.

Strażnicy, brzęcząc bronią, poszli dalej korytarzem, a Szymon wszedł do izby i zamknął drzwi.

— Nie śpisz jeszcze? — zwrócił się do żony i chciał ją objąć wpół. Ale Elżbieta wysunęła się lekko i podeszła do stołu.

— Spałam już, ale obudziły mnie hałasy na dworze.

— Mieliśmy grubszą awanturę z pewnym postrzeleńcem — wariatem i bandytą — ze złością powiedział Szymon.

— Zmęczyłeś się? Napijesz się wina? — pytała troskliwie.

— Chętnie. Zaszło mi w gardle.

Nalała mu wina do przygotowanego kielicha. Wypił duszkiem i wyciągnął kielich, by go napelniła po raz drugi.

— Dobre wino — powiedział z uznaniem.

— To reszta z naszego wesela!

— Był tego zapas niemały. Twój ojciec nie poskąpił grosza na weselną ucztę! — wyciągnął rękę, aby przyciągnąć żonę do siebie, ale Elżbieta znów się usunęła i poszła w stronę okna.

— Zamknę okno, bo już chłód na dworze — powiedziała. — Hałasowaliście tak, że aż wyrzałam, aby zobaczyć, co się dzieje.

— To niebezpieczny rozbójnik, ten, ten... Słyszałaś może o nim. Nazywa się Robin Hood.

— Był tutaj? — zdziwionym głosem spytała Elżbieta. — Przecieź mówiliście, że napada ludzi w lasach...

Muzea w wojew. poznańskim (II)

Sieć muzeów na prowincji i ich działalność powojenna przedstawia się następująco:

1. MUZEUM W KÓRNIKU pamiętek historycznych polskich i wnętrz. Mieści się w zamku przez Górków w XVI wieku w stylu odrodzenia zbudowanym, a przez Tytusa Działyńskiego w połowie XIX wieku na neogotyckim przebudowanym. Zamek przetrwał wojnę w dobrym stanie, ale zbudowany na drewnianych palach w gruncie podmokłym, skutkiem wstrząsów, zaczął gwałtownie się rysować. Pod jedną trzecią budynku podłożono świeżo żelazobetonowe fundamenty na miejsce drewnianych, ale nadal występują pęknięcia i usuwania się podłogi. Wkrótce zatem przystąpi Fundacja do dalszego remontu. Zarząd Muzeum na początku wojny przewiózł samą część zbiorów do Warszawy i złożył je w piwnicach pałacu Zamoyckich, gdzie mimo spalania pałacu — ocalały. Niemcy zaś zwieźli w czasie okupacji do zamku kórnickiego wiele zbiorów z Poznania (między innymi bibliotekę uniwersytecką). Przy cofaniu się zabrali część zbiorów w tym jedną z najcenniejszych w Polsce kolekcji zbroi z XVI i XVII wieku. W znacznej mierze została ona już zrewindykowana via Moskwa. Obecnie muzeum jest urządzone i zasadniczo otwarte, ale z powodu remontów wpuszcza się zwiedzających tylko w drodze wyjątkowej. Najcenniejszymi obiektami, poza kolekcją zbroi, jest srebrny połowy ołtarz Sobieskiego i miniatury Szydlowieckich na pergaminie malowane w XVI wieku przez Stanisława Mogile.

2. GORZÓW jako stolica Ziemi Lubuskiej ma również swoje muzeum, posiada galerię obrazów, przedmioty przemysłu artystycznego i inne działy.

3. ZIELONA GÓRA posiada muzeum z czasów niemieckich z dużym działem prehistorycznym. Przystosowanie go do polskich wymogów i zaopatrzenie w eksponaty polskiej kultury, będzie staraniem Woj. Urzędu Konserwatorskiego.

4. W GUBINIE jako placówkę wojewódzkiej najbardziej na zachód wysuniętej, nad Nisą — w dużym dwupiętrowym gmachu, który jest w tej chwili w remoncie, powstaje muzeum regionalne — specjalną opieką wojewódzką otoczone.

5. W LESZNIE, w Starym Ratuszu, przystępuje się do organizowania muzeum regionalnego.

6. W MIEDZYZDRZECZU dwa budynki stojące opodal starego zamku, są w fazie remontu na cele mu-

zealne. Tu w centrum zachowanych jeszcze zabytków sztuki i kultury ludowej — powstać ma muzeum etnograficzne.

7. KALISZ przed wojną posiadał muzeum im. Asnyka. Budynek w czasie wojny został zniszczony. Część zbiorów ocalała i kompletowana jest na nowo. W tej chwili buduje się w Kaliszu duży gmach na Dom Kultury, w nim to ma znaleźć pomieszczenie muzeum. Otwarcie nastąpi prawdopodobnie w roku 1950 w 2000-lecie założenia miasta. (Jest to bowiem najstarsze chyła miasto w Polsce, „Calissia” u Ptolomeusza zwane).

Konserwator wojewódzki projektuje także urządzenie muzeum meblarskiego w pałacu rogalińskim, swym położeniem i okazałością specjalnie na ten cel się nadającym.

Z prywatnych zbiorów, o których istnieniu konserwator wojewódzki jest powiadomiony — wymienić należy zbiory p. Salacińskiego w Śremie, obejmujące około 3000 przedmiotów gromadzonych cierpliwie i skrzętnie, niestety pozbawione w tej chwili odpowiedniego pomieszczenia. Niemcy usunęli ich właściciela z wili własnej, a obecnie mimo starań i zachodów nie może jej odzyskać dla swojej kolekcji.

W Gostyniu p. Stachowski ma zbiory o charakterze regionalnym. Tak więc okazuje się, że sprawa zabytków ruchomych, mimo zniszczenia wojennego nie przedstawia się u nas najgorzej. Tym, co posiadamy jednak, trzeba zagospodarować planowo i rozmieścić zabytki stosownie do charakteru miejscowości. Ta właśnie praca jest ciągle w toku i możemy się spodziewać jej dobrych i celowych wyników.



Francisco Zurbaran (1598-1662) szkoła hiszpańska — Adoracja Maryjny (Jeden z najcenniejszych eksponatów Muzeum Wielkopolskiego)

prześwitujące dalekimi perspektywami. A jest to wnętrze nie tylko jak las ale także trochę jak miasto. Tłum stojący u stóp ambon, z głowami wzniesionymi ku kaznodziei, robił wrażenie, gdy patrzyłam nań od wielkiego ołtarza, tłum stojący na wolnym powietrzu, na jakimś architektonicznie skomponowanym placu, jak w późno renesansowych obrazach. Dookoła pełno jakichś ulic i przejść, jakichś bram i tunelei. Wchodząc do tego kościoła — miasta — nigdy nie wiedziałam, gdzie dojdę. Szłam więc przed siebie, pełna ciekawości i lekkiego niepokoju, ale mijając filary podobne do gmachów, przechodząc pod sklepieniami bram — tunelei — ładowałam jednak zawsze szczęśliwie — nagle uciśniona i od razu wewnętrznie rozradowana — u stóp wielkiego ołtarza, u stóp Świętojńskiej Maryjny.

Ach! z jakież niezmiernie wysoka spoglądała piękna renesansowa Madonna, ta Madonna niby Cimabuego, niby Mantegny — na ten zielony polski świat, na te białe i czerwone chodniki, na ten falujący i modlący się tłum. W niezmiernym przepychu wielkiego ołtarza, ponad kunsztownie rzeźbionym złotem rokokowego cyborium, wśród ozdobnego srebra tła — niewielki, prosty, spokojny obraz — jak bezcenny szmaragd wmontowany w przepych kunsztownej oprawy.

Właśnie jak cenny kamień: prosty, gładki i lśniący — i właśnie jak szmaragd — Zielony najpiękniejsza zieleni świata. Nie, tak głębokiej zieleni nie ma nawet syrakuzanska zatoka, takiego sciszzonego przepychu, nawet zieleni Weroneza, Zielonej płaszczy tej

Madonny jest tragicznie głęboka, a przy tym aksamiennie świeża. Nie może się nią oko nasycić, nie może jej zgłębić, stale do niej tęsknota, prośba i nadzieja przywarte. Na chwilę przesuwam się na ciemny pas sukni Dzieciątka Jezus. Pás ten zdaje się być odbiciem ciemnego pasu peoni, które poniżej nieotwartymi jeszcze pąkami zdoła wielki ołtarz, lśniąca jak ciemne, purpurowe krople krwi na jego złotym tle.

Ale człowiek nie lubi koloru krwi. Strasz go perspektywa cierpienia. To też chroni się szybko w kojącej przeszłości zielonego płaszcza Madonny. Tu chce trwać bezpiecznie, zdany bez zastrzeżeń na Jej decyzję. Wie, że wyroki nie będą zbyt srogie. Wie, że ta Madonna przemawiająca do niego zrozumiałym człowiekowi językiem piękna, nie może nie rozumieć i najbardziej ludzkich spraw jego. Nie można nie ufać u stóp tego obrazu w tej światłości, radością i nadzieją wypełnionej świątyni.

Pisał niedawno Jerzy Turowicz w „Tygodniku Powszechnym”, że gotyckie budownictwo jest ostatecznym słowem budownictwa chrześcijańskiego. Widocznie nie był na Świętej Górze. Bo tu chyba jest szczyt tej harmonii, tego spokoju, tej ufności, jakie znaleźć może człowiek, bez reszty w ręce Boga zdany. Tu jest ta Boża pogoda, o której pisze Dante, nazywając ją „morzem w które spływa życie”.

Nie wiem jak wysoko nad poziom morza wzniesiona jest Święta Góra. Ale wiem, że musi to być wysokość pokaźna, bo tu na pewno jest człowiek bliżej nieba, niż gdziekolwiek indziej. Może gdzieś na pół drogi,

Przegląd kulturalny

Rozpoczął się okres urlopów letnich, wyjazdów, ożywienia uzdrowisk i miejsc kąpielowych, a w wielkich miastach okres sezonu ogórkowego. W Poznaniu zamknęła się na przeciąg letni opera, a zespół z dyr. Latoszewskim na czele wyjechał w sierpniu do Warszawy na gościnne występy. Natomiast do Teatru Polskiego przybył w gościnę zespół szczecińskiego Teatru Polskiego z dyr. Czosnowskim i dawał przez tydzień dwie sztuki Sartre'a, twórcy filozofii egzystencjalizmu wypełniające jeden wieczór: „Przy drzwiach zamkniętych” i „Ladacznica z zasadami”. Ta ostatnia zwłaszcza znana i dyskutowana już niemal w całym świecie i u nas wzbudziła wielkie zainteresowanie.

O ile teatry zawodowe wyruszyły na zwykłe letnie tournée przed ostatecznym zorganizowaniem się na nowo — teatryki amatorskie wykazują w minionym czasie wielką działalność. Na czele ich w Poznaniu wybiła się zespół Akademicki Sekcji Teatralnej, której zadaniem jest pogłębianie wiedzy o literaturze, a nie szukanie łatwych i tanich efektów. Wybrała więc na pokaz publiczny jedno z dzieł najtrudniejszych: „Krusza” Norwida. Osiągnęła swój cel, bo zbliżyła autora szerzej publiczności, a przypomniawszy smakoszom i znawcom. Sposób przedstawienia sztuki: hieratyczny, stylizowany, odrzucający efekty wizualne, prócz gry światła i szkicu dekoracji — był taki jak przystało podobnym. Przedstawienie opracowane z wielkim wysiłkiem i staraniem było szlachetnym pięknym holdem złożonym prawdziwej sztuce.

Na prowincji prym trzyma zespół w Gnieźnie, który niezmordowanie objeżdża prowincję i przygotowuje nową sztukę. Na całym terenie województwa aż huczało od przedstawień i akademii szkolnych na zakończenie roku, a także występów rozmaitych organizacji, świetlic, nastrojowych wianków itd. Wymienić można z bardziej ambitnych przedsięwzięć: „Wielką rewię” urządzoną przez J. Adamczaka w Nowym Tomyślu, dnia 19. VI, popisy zespołów świetlicowych cukrowni: Kościana, Żnina i Gniezna urządzonych w Gnieźnie 26. VI, 29. VI, zlot 9 zespołów świetlicowych w Powidzu, Komitet odbudowy Państw. Liceum i Gimnazjum w Trzemesznie dał 16. VI. wieczór pieśni i tańców ludowych, a w Mogilnie na cel wspólnego domu Zjednoczonych Partij urządzono koncert solistów dnia 12. VI.

Z dziedziny wystaw zanotować należy wystawę „Dzieje cywilizacji w Polsce” Jana Matejki (zorganizowaną przez Państwowe Muzeum Narodowe w Warszawie) obecnie w Gnieźnie, przypuszczalnie później i w innych miastach Wielkopolski. W Poznaniu trwa wciąż w Muzeum Wielkopolskim wystawa krajobrazu Łagowa prac uczestników kursów pejzażowych studentów Wyższych Szkół Plastycznych Warszawskiej i Poznańskiej w zamku w Łagowie.

Zakończenie eliminacyjnego Konkursu Szopenowskiego

Drugi (końcowy) etap eliminacyjnego Konkursu Chopinowskiego, który odbył się w sali „Roma” w Warszawie w dniach 26 i 28 czerwca dał poniekąd nieoczekiwane wyniki. Po wstępnym przesłuchaniu wszystkich uczestników w I etapie jury dopuściło do II etapu spośród 23 uczestników 10 młodych pianistów i pianistek, którzy grali z tow. orkiestry koncerty chopinowskie. Grę kwalifikowano punktami od 1-25, przy czym ilość punktów dla zakwalifikowanego do następnego etapu kandydata wynosiła minimum 18.

Rezultat ostatecznej eliminacji był następujący: I miejsce przyznano Reginie Smendziance (Kraków), II miejsce Zbigniewowi Szymonowiczowi (Łódź), III miejsce Waldemarowi Maciszewskiemu (Kraków), IV miejsce Barbarze Hesse-Bukowskiej (Warszawa), V miejsce Tadeuszowi Kernerowi (Sopoty), VI miejsce Władysławowi Kędrze (Warszawa), VII miejsce Tadeuszowi Żmudzińskiemu (Katowice).

Pierwsze trzy osoby otrzymały poza tym nagrody a ponad to ustanowiono dwie „nagrody młodości”, dla dwu najmłodszych kandydatów.

Wyżej wymienieni uczestnicy będą mieli prawo wziąć udział w IV Międzynarodowym Konkursie Chopinowskim, który odbędzie się w przyszłym roku w Warszawie i wówczas okaże się, czy ocena dotychczasowa była trafna. Tymczasem nasuwa się refleksja, że interpretacja kompozycji Chopina wymaga prócz pełnych kwalifikacji muzycznych i wirtuozowskich jeszcze odrębnych dyspozycji psychicznych.

Fr. Ł.

FRANCISZEK CIERNIOCH

Spacerem przez eter (II)
Radio z drutem czy bez drutu...

Orkiestra filharmonii koncertuje, śpiewak wykonuje popisową arie, sprządawca sportowy opisuje przebieg zawodów. Nasłuchuje czujny mikrofon. Chwyta on wszystkie fale głosowe, tony i dźwięki, szmery i odgłosy. Wszystko, co przejął, zamienia na prądy elektryczne różnych częstotliwości i natężeń. Prądy te płyną po przewodach do rozgłośni radiowej. Stąd kierowane zostają na stację nadawczą.

Od mikrofonu do słuchacza

Antena czynnej stacji nadawczej śle w przestrzeń prądy wysokich częstotliwości, tak zwana fale radiową nośną. Potężne lampy jarzą się bez przerwy, pulsują wskaźniki prądów. Na te prądy stacji nadawczej nałożone zostają wzmocnione prądy mikrofonowe. Prądy fali nośnej są jakby elewatorami, transporterami prądów mowy i muzyki. Te prądy nośne, obciążone prądami mowy czy muzyki zostają chwytywane przez anteny odbiorcze. W odbiorniku radiowym zostają wzmocnione i przemienione ponownie na fale głosowe przez membranę papierową głośnika.

Dla uruchomienia odbiornika radiowego potrzeba niezmiernie mało energii z anteny. Wystarczy 10 000 000 razy mniej niż zużywa żaróweczka lampki kieszonkowej. Mimo to antenowa stacja nadawcza wysyła duże ilości energii. Zaledwie ułamek tej energii zostaje chwytywany przez odbiorniki radiowe i wykorzystany przez słuchaczy. Duży procent roztrwoniony, zostaje w przestrzeni.

A teraz o nowej technice drutowej. Jesteśmy już w rozgłośni. Zamiast do nadajnika antenowego kierujemy teraz wzmocnione prądy mikrofonowe do małego stojaka — nadajnika przewodowego. I tutaj wytwarza się fale nośną — czynny jest nasz elewator elektryczny, zabierający prądy mowy czy muzyki na daleką wędrowkę do słuchacza. Zamiast na antenę nadawczą kierujemy jednak prądy nośne na tory utworzone z przewodów elektrycz-

JÓZEF BARANOWSKI

OBŁOK

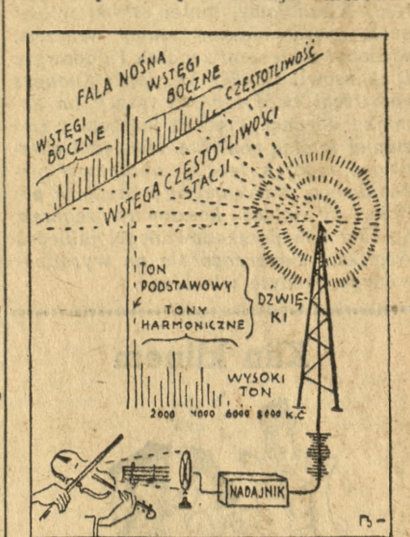
Biały, samotny żagiel
Stał nad lasem
Zbłąkany wiatr-żeglarz nieba
Minął się z czasem —

Zagubił się wśród przestrzeni
Słotca bezkresnej —
Pluszcze mu potok — wzruszony
Ciszą śródleśną.

Samotny żagiel na niebie
Z błękitną łódką
Tonie nad lasem — przykryty
Falami smutku.

nych. Wykorzystujemy wszędzie dochodzące linie telefoniczne. Zadna ze stron — Radio ani Poczta — nie tracą na tej symbiozie. Nadal każdy sobie rzepkę skrobie. Nie jak Paweł i Gawęł „co w jednym stali domku”. Korzysta słuchacz, otrzymujący wspólny odbiór radiowy.

Odpowiednie elementy elektryczne oddzielają urządzenia obu technik całkowicie od siebie. Tylko linie przesyłowe są wspólne. Z miasta do miasta przebiega fala radiowa po drutach. Z central pocztowych zostaje skierowa-



Długą drogę przebywa dźwięk struny skrzypcowej, zanim dojdzie do uszu słuchacza.

na w kierunku abonentów telefonicznych, ominawszy same aparaty telefoniczne, rozbiega się po własnej sieci do abonentów radiowych. Wokół każdego aparatu telefonicznego skupia się więc grono szczęśliwców — zadowolonych słuchaczy radiowych.

Elektron nabiera tchu

Jeżeli prądy w swej wędrowce ulegną osłabieniu, zostają w miejscowych urządzeniach pocztowych wzmocnione i odświeżone, gotowe do dalszej drogi. I tak od miasta do miasta, zawsze po drutach telefonicznych. To kierowanie fal radiowych wzdłuż określonych torów pozwala na oszczędną gospodarkę energią elektryczną, pozwala osiągnąć duże odległości przy pomocy stacji nadawczych małej mocy. Np. pięciokilowatową stację trudno odebrać w ciągu dnia w odległości 100 km, tymczasem 5000 razy słabszy nadajnik drutowy pokonuje tę przestrzeń bez trudności. Co więcej, fale wzmocnione tutaj do wielkości jednego watta, pokonuje dalsze 100 km. Takiego odświeżającego tchu może nabierać kilkakrotnie.

Zagraniczne projekty przedwojenne przewidywały dostarczenie tej drogi każdemu abonentowi radiowemu programu krajowego. Niezależnie od tego czy był on równocześnie abonentem telefonicznym czy nie. Liniami telefonicznymi postanowiono posługiwać się jak daleko można było, dalej miano budować własne linie radiowe. I co najważniejsze — całą instalację zakładano z urzędu bezpłatnie każdemu abonentowi radiowemu, nie pobierając żadnych dodatkowych opłat. Urządzenia wprowadzone zostały u naszego zachodniego sąsiada urzędowo ustawą z marca 1939 roku.

W roku następnym czynnych było już 150 000 urządzeń odbiorczych. W końcowej fazie miano zainstalować ich około 12 milionów.

Poza właścicielami lampowych odbiorników radiowych korzystać mogą z zalet tego systemu... wszyscy posiadacze głośników radiowych. Obsługa rozgłośni przewodowych zmuszona była wielokrotnie przekazywać na głośniki pełen przeszkód odbiór antenowy.

Posiadacz głośnika tą drogą zasilanego ma w wielu wypadkach zapewniony lepszy odbiór niż sąsiad, właściciel nowoczesnego odbiornika lampowego.

Radiofonia przewodowa niskiej częstotliwości znalazła w opisanych urządzeniach nośnych cenne uzupełnienie, gwarantujące jej należyty poziom techniczny. Jedynie z tymi urządzeniami może ona zapewnić szeroki zakres słuchaczy nieskażony program radiowy. Nie pomagają bowiem urządzenia stacyjne najdoskonalsze, jeżeli źródłem programów były tylko kapryśna — bujająca pomiędzy niebem a ziemią — antena odbiorcza.

Streśm: Odbiór antenowy obciążony jest poważnymi wadami, radiofonia przewodowa nośna natomiast zapewnia odbiór wolny od tych wad, daje w każdym miejscu wysoki poziom napięcia antenowych, zapewnia możliwość najwłaściwszych transmisji wysocy artystycznych. Zachowuje dla odbioru dotychczasowe odbiorniki, wymaga stosunkowo małych kosztów inwestycyjnych.

Na postawione w tytule pytanie: z drutem czy bez — odpowiemy więc stanowczo: Na wody krajowe bezwarunkowo z drutem, a przy pogodzie: w szeroki świat — bez drutu!

Mimowolny bandyta

Karol Dickens, słynny powieściopisarz angielski, w czasie pobytu w Rzymie odwiedzał prawie każdego wieczora Colosseum. Przechadzkę tę odbywał zazwyczaj samotnie, pojąc się do późna czarem włoskiej nocy. Pewnego razu spostrzegł w zakątku amfiteatru mężczyznę, otulonego czarnym płaszczem. Tajemniczy ów człowiek przeszedł szybko obok Dickens, potrącając go przy tym nieznacznie. Nagle Dickens przypomniał sobie wszystkie opowiadania o włoskich złodziejach i bandytach. Sięgnął ręką do kieszeni, a spostrzegłszy brak zegarka, pobiegł za szybko odlatującym się mężczyzną. Niewiele umiał po włosku, ścigając więc nieznanego, krzyczał tylko jedno słowo: „Orologio! Orologio!” (zegarek! zegarek!) Nieznajomy, mniej szybki w nogach, dysząc ciężko, stanął wreszcie, wydobył z kieszeni zegarek i oddałszy Dickensowi, uciekł. W domu Dickens spostrzegł swój zegarek leżący na kominku. Sięgnął więc do kieszeni i zrozumiał fatalną pomyłkę. Nie jemu skradziono zegarek, lecz on obrabował nieznanego. Natychmiast poszedł na policję, by oddać kosztowny zegarek. Spotkał tam poszkodowanego, jakiegoś Anglika, skarżącego się na wyrafowanego bandytę włoskiego.

Klin klinem



— Panie starszy, czy na tych fotelach — nie ma czasem pcheł?
— Wykluczone!... Gdyby się tylko pokazyły, toby je zaraz pluskwy zjadły.



„Idźcie mi jak z kamienia” — skarżył się rzeźbiarz, kując w granicie.



— „Dobrze żeśmy go spotkali... Przynajmniej dojdziemy sucho do domu!!!”

Od Grunwaldu po Berlin

(Dokończenie ze str. 1)

wowym napięciu, — przeszłość i czyn zwały się w jedno — pozostało wspomnienie całości dzieła. Pozostały rezultaty zbrojnego czynu — wywołane prawo do życia, prawo do budowania sprawiedliwej i szczęśliwej rzeczywistości.

Nie sztuka jednak jest wygrać tylko wojnę. — trzeba umieć wygrać i pokój, mobilizując wszystkie siły duchowe i moralne. Z doświadczenia 5-wiekowego od Grunwaldu po Berlin płynie nauka: należy poddać gruntownej rewizji nasz stosunek do Niemców — zerwać z polityką wspaniałomyślności, ale strzec się też rezygnacji i bierności. Musimy sobie zdać sprawę, że jesteśmy jednym z narodów zwycięskich i że mamy możliwość i prawo wpływać na kształtowanie się niemieckiej rzeczywistości. Nie może być dla nas obojętnym czy wreszcie naród niemiecki oczyści się z hitlerowskich miazmatów, wejdzie na drogę demokracji i postępu przez rzetelną pracę nad sobą, przez rezygnację z imperialistycznych mrzonek, przez odbudowę myślącego człowieka, zamiast — jak było dotychczas — posłusznym junkrom automatów.

Tylko taka przebudowa Niemiec oznacza usunięcie niebezpieczeństwa nowej wojny, a więc wygrany pokój.

T. S-ki

Najlejsza przesyłka

Oczekiwanie w kolejkach jest utrapieniem naszego życia. Obojętne czy będzie to kolejka przed kinem, czy przed P.T. Siła czasu, utarczki z warcholstwem osób, cierpiących na brak dyscypliny społecznej, zmęczenie — oto konsekwencje tego zła koniecznego, jakim są dzisiaj kolejki.

Dla rozrywki kolejkowiczów i rozładowania ich nagminnej zgrzytliwości przypomnę zabawną historię, jaka zaczęła się pewnego upalnego dnia również w pewnej kolejce, w kraju, którego mieszkańcy tyleż cenią dowcip, ile nie lubią kolejek — we Francji. Historia jest autentyczna i wydarzyła się w latach przedwojennych.

Upalne lato. Zar zalewa oszkloną halę jednego z dworców paryskich. Lu-



dzie skłoczeni w kolejce przed kasami biletowymi niecierpliwia się, demerwują, ocierają pot z czoła, wzdychają zmęczeni. Przed ekspedycją bagażu ręcznego stoi również kilkanaście osób z walizkami i bagażami, które pragną przesłać koleją. Bagaże znikają stopniowo za wagą w czeluści pomieszczenia. Kolejka posuwa się na szczęście dość szybko. A raczej posuwała się do czasu, gdy przed wagą stanął elegancki, starszawy pan bez żadnej paczki. Na pytające spojrzenie urzędnika pan wyciągnął pewnym ruchem z kieszeni miniaturowy pakietek i ostentacyjnie położył go na wagę.

— Co to ma być?
— Przesyłka. Pragnę ją nadać do Marsylii.

— Pan chyba żartuje. Cóż tam jest w środku?

— Wykałaczką. Ale dobrze opakowaną, zgodnie z przepisami.

— Proszę nie kpić. Widzi pan, że nie mamy czasu. Ludzie czekają.

Ogonek przed ekspedycją zafalował potakującym oburzeniem, lecz wykwinął pan nie dał się zbić z tropu. Oświadczył z naciskiem, że pragnie wspomnianą wykałaczkę przesłać do Marsylii przyjacielowi nie w liście, lecz jako przesyłkę kolejową. Następnie z dużą znajomością przepisów zaczął przekonywać urzędnika, że w jego życzeniu nie ma nic niestosownego. Regulamin przewozowy przewiduje jedynie górną granicę wagi drobnych przesyłek, zatem można żądać przyjęcia do przewozu dowolnie małego przedmiotu. Wywiązała się dysputa. Urzędnik był spocony i zdenerwowany. Podróżnik, stojący za panem zaczęli się początkowo burzyć na dowcipniastą, wypominając upały, ścisł i pośpiech, w końcu jednak górze wzięło francuskie poczucie humoru i z zaciekawieniem oczekiwali na wynik debat.

Kolejarz nie mogąc przełamać oporu ani argumentacji wykwinętego pana, wzruszył ramionami i poszedł po zwierzchnika. Na arenę wypłynął regulamin kolejowy. Obaj kolejarze zaczęli wertować przepisy. Okazało się, że pan miał rację. Nic poza zdrowym rozsądkiem nie stało na przeszkodzie w przyjęciu bagażu.

Kląnąc na stratę czasu i pozasłużbowo uśmiechając się pod nosem funkcjonariusze przystąpili do przyjęcia kłopotliwego bagażu. Wykałaczką była owinięta kilkakrotnie w bibułkę, następnie w kawałek płótna i przewiązana starannie cienkim sznureczkiem. Na płótnie wykalgafowano misterny adres.

Dużo kłopotu nastroczało zważenie pakunku. Waga bagażowa nie reagowała zupełnie. Trzeba było wynaleźć wagę do listów, która wykazała wreszcie minimalną ilość gramów.

Nastąpił nowy kłopot z oznaczeniem odpowiedniej stawki przewozowej. Taryfa nie przewidywała przesyłania wykałaczek w wagonie bagażowym. Urzędnik zasiadł przy stoliku i zagłębił się w zawitym dzieleniu. Rozbawiona kolejka otoczyła półkołem eleganckiego pana, który zachowywał przez cały czas niezamącony spokój i powagę.

Kłopoty nie zakończyły się po wylczeniu opłaty.

Przymocowanie nalepki z numerem na miniaturowej przesyłce nie należało do rzeczy najłatwiejszych.

Od wagi pan przeszedł do kasy, gdzie z kolei zdenerwował kasjera. Najmniejsza z monet będących w obiegu przewyższała znacznie opłatę frachtu. Elegancki pan był jednak wyrozumiały. Wiedział, że trudno żądać reszty z centima. Podziękował za przyjęcie przesyłki i odszedł od kasy.

Kolejarze odetchnęli. Nie wszyscy jednak i nie na długo.

Nadawca wykałaczki stanął pod następnym okienkiem, gdzie pragnął ubezpieczyć przesyłkę również na minimalną sumę jednego czy dwóch centimów.

Powtórzyła się poprzednia scena. Znow kasjer złościł się, znow pan argumentował z niezamąconym spokojem. Nie było jednak powodów, by odmówić ubezpieczenia przesyłki, którą ekspedycja przyjęła do przewozu.

Elegancki pan opuszczał dworzec z miną triumfatora.

Nieszczęśliwym trafem wykałaczką w czasie podróży uległa uszkodzeniu. Prostu ktoś nieostrożny złamał ją. Marsylski przyjaciel przy odbiorze zgłosił reklamację, a elegancki pan zażądał odszkodowania od towarzystwa ubezpieczeniowego. Gdy żądanie jego chciano zbyć jako kiepski żart mania-ka, wytoczył proces. Sprawa przeszła przez kilka instancji, wzbudzając sensację wśród dziennikarzy i śmiech wśród czytelników. Elegancki pan okazał się i tutaj zwycięzcą. Wygrał wreszcie proces i otrzymał 2 centymy odszkodowania za uszkodzenie przesyłki oraz kilkaset (czy nawet więcej) franków tytułem zwrotu kosztów. Przed trybunałem okazał się również biegłym znawcą artykułów kodeksu, jak regulaminu kolejowego, czy przepisów ubezpieczeniowych. Nie było w tym nic dziwnego. Był przecież jednym z najzdolniejszych adwokatów paryskich, znanym szeroko ze swego humoru i szeregu podobnych wesołych historii.

L. Pr.



„Ciepli sen”

Fraszki

Do skazańca rzekł kat niby od niechcenia:

Jednak mam panu coś do zarzucenia.

Pytanie

Każdy chyba chce to wiedzieć, Zapytaniem tym zdziwiony, W jaki sposób może siedzieć Ktoś wysoko postawiony?

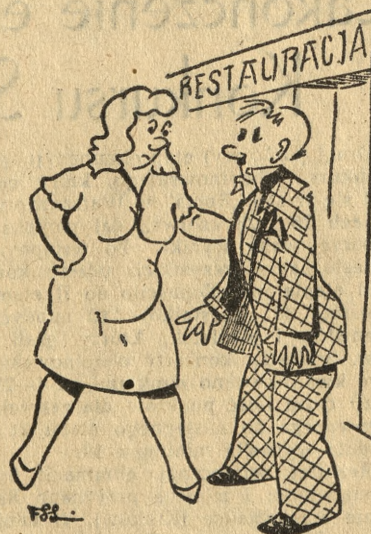
Fraszka o wężu

Rzekł raz wąż, będąc w potrzebie: (Skórę swą miał właśnie zmieniać) Idźcie stąd! — bo wyjdę z siebie!

Włodzimierz Ścisłowski

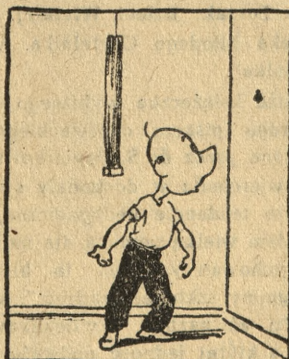


Rysunek bez podpisu

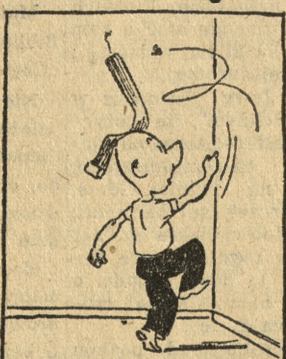


— Ile razy cię spotykam zawsze wychodzisz z knajpy.
— A co byś chciała żebym stamtąd nigdy nie wychodził?

I walka z muchą, nie ujdzie na sucho



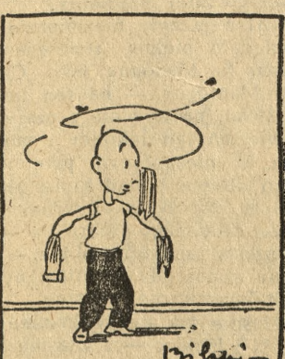
Muchę znęciła Śliwkowa głowa, chciałaby na niej chętnie złądować.



Rozgniewał wnet się Śliwka spokojna i wypowiedział natrętnej wojnę.



Ruszył do boju z złością i werwą, macha rękoma za nią bez przerwy,



aż w szale sam się bledak przylepił do mucholapki. Teraz mu lepiej.

Z teki karykaturzysty

Prof. dr Górski rektor Akad. Handl. i prezes Tow. Pol. sko - Radzieckiego



Wyłysiała młodość

— Nie wszystko co modne jest dobre — powiedział mól, wylamawszy sobie zęby na nylonach.

Bardzo modne stały się ostatnio wszelkiego rodzaju zjazdy koleżeńskie: byłych maturzystów, przyszłych maturzystów, niedoszłych maturzystów itp.



Dzień bowiem, w którym groń dobru- liwych profesorów doszło do wniosku, że jedynym sposobem pozbycia się obiecującego (poprawę) młodzieńca ze szkoły, jest wręczenie mu świadectwa dojrzałości, pozostanie dlań do końca życia dziełem, budzącym tkliwe wspomnienia. Stąd wzrastająca popularność rocznicowych zjazdów. Jak jednak z poniższych dość ponurych wywodów wynika, zdarzają się i cennie strony takich radosnych uroczystości, co świadczyło by, iż w wymienionym na wstępie zdaniu kryje się nieco prawdy.

Zjazd koleżeński odbył się punktualnie w rocznicę matury. Zjechaliśmy się — i to przeważnie na piechotę, bo większość uczestników mieszka w Poznaniu — pełni entuzjazmu i odmłodzeni o dobrych kilka lat. Przy wspólnym stole zgromadził się w radosnym rozrównieniu i wśród wylewnych powitań cały szereg mniej lub więcej uytułowanych panów. Prawdziwe święto zbratania. Pacjenci bez obawy siadali obok lekarzy, aptekarze w przykładowej zgodzie obok członków Ubezpieczalni, na- czelnicy obok dyrektorów itd. Wytwor- nym krojem ubrania i brakiem inicja- tywy wyróżniał się jedyny przedstawiciel inicjatywy prywatnej. Był nawet jeden autentyczny prokurator, ale obecność dwóch adwokatów sprawiała, że czuliśmy się mimo to całkiem swobodnie.

Zjazd zaczął się pod hasłem „... a pamiętasz?”, i w miarę wywoływania od- ległych wspomnień nastrój stawał się coraz bardziej beztroski.

— A pamiętasz — mówił p. prokura- tor do p. doktora — jak w czasie lek- cji historii ten budzik zaczął w szale

dzwonić? Profesor myślał, że to już przerwa?

I p. prokurator z p. doktorem wy- buchają homerycznym śmiechem, aż im się nieźle już zaakcentowane brzuchy trzęsą, a spod binokli spływają łzy.

— A te chrabąszcze w tece pamię- tacie? — woła przez stół podatustasiły p. dyrektor, ojciec licznej progenitury, a całe towarzystwo dostaje czkawki ze śmiechu. To były czasy! Dzisiejsza młodzież już nie ma tego temperamen- tu, ale my... ho, ho!

Przedstawiciel inicjatywy prywatnej zarażony ogólną wesołością wychodził ze swego kąta i deklamuje Ode do młodości. Myli się jednak przy słowie „zamiary” i mówi „mierz siły na do- miary”. Głos mu się zalamuje i mimo, że wszyscy podpowiadają mu solidarnie, nie może dalej ujechać.

Nastrój staje się coraz bardziej bez- troski. I właśnie w tej chwili ktoś wpada na nieszczytny pomysł oblicze- nia, ile to już właściwie lat minęło od tej naszej matury, a jak zwykle kole- żeński b. najlepszy matematyk klaso- wy podejmuje się rozwiązać to zadanie najdalej w pół godziny. Ponieważ dla wykonania tej czynności używa nie tylko własnych rąk i nóg, ale i je- dnak rękę pożyczą od sąsiada, tachun- nie jest prosty:

— Dwadzieściapięć lat — ogłasza rachmistrz oficjalny wynik ponurym głosem.

— Będę apelował! — wykrzykuje z przyzwyczajenia jeden z adwokatów, ale urywa wśród nagłego milczenia, jakie spadło na salę. Przerazonej ciszy nie mać nawet radio, które nasz b. najlepszy fizyk żądał zepsuć na sa- mym początku uroczystości.

B. solista b. chóru gimnazjalnego rozartagnionym ruchem wypija resztę składkowej wiśniówki, po czym intonuje żałobnie:

...post iucundam iuventutem...

Jako b. absolwent gimnazjum klas-ycznego nie rozumiemy wprawdzie po angielsku, ale domyśliamy się, że musi to być jakiś bardzo smutny tekst, gdyż solista w pewnym momencie przerywa śpiew w pół zdania i oparł- szy głowę na rękach płacze gorzko. Jestem pewny, że byłby nawet rwał włosy z głowy, gdyby mu w tym nie przeszkadzała zaawansowana łysina.

W bolesnym nastroju żegnamy się niemal bez słowa. Zjazd się nie udał, a wiśniówkę wypił tragiczny solista.

Już na schodach odczuwam klucie w sercu i w kolanach. W sercu czuwa się żal za minioną tzw. wiosną życia, a w kolanach reumatyzm. Czuje, że przybyło mi nagle dwadzieściapięć lat.

Z. KARCHOWSKI